NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 30 listopada 1912. Nr. 48.

Nowy wróg Turcyi.

(Treść na str. 2).



Nr. 48 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Zbrodnia jasnogórska przed sądem. — Władysław Mickiewicz we Lwowie. — Nowa potęga na Bałkanach. — Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla. — Wystawa rękodzieła i przemysłu galicyjskiego. — Dla hygieny ludu. — Początek zawieruchy europejskiej.

Nowy wróg Turcyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Dla Turcyi nastały ciężkie czasy. Po klęskach, jakie poniosła armia półksiężyca, broniąca dziś ostatkiem sił dostępu do Konstantynopola pod Czataldżą, stanęła ona wobec nowego wroga, jeszcze straszniejszego, niż armaty nieprzyjacielskie, bo dziesiątkującego jej szeregi, bez bitew i bez walki. Tym wrogiem jest epidemia cholery, szerząca się wśród wojsk tureckich, zwłaszcza koło Czataldży. Pochłania ona codziennie tysiące ofiar, a pociągi zwożą wciąż do Konstantynopola chorych. Epidemia dziesiątkuje również ludność wsi i miasteczek, która ucieka w popłochu z zarażonych miejscowości.

Szerząca się w szeregach tureckich cholera jest też niewątpliwie przyczyną pewnego zastoju na terenie walki pod Czataldżą, bo i zwycięskie wojska bułgarskie, w obawie przed tym wrogiem cofają się z zajętych pozycyi, gdyż bliskie zetknięcie może spowodować zawleczenie cholery i w ich szeregi. Gdy rokowania pokojowe pomiędzy Turcyą a sprzymierzonemi państwami bałkańskiemi nie doprowadziły na razie do żadnego rezultatu, gdyż rząd turecki odrzucił zbyt upokarzające warunki zawieszenia broni, przerwę w działaniach wojennych spowodowała szerząca się w zastraszający sposób epidemia cholery, równie groźna dla zwyciężonych, jak i zwycięzców. Nie ulega jednak wątpliwości, że wróg ten, który jest stałym towarzyszem brudu i nędzy, znajduje doskonałe podłoże w dezorganizowanej armii tureckiej, pozbawionej środków żywności i odzieży. To też cholera poczyniła olbrzymie spustoszenia zwłaszcza w szeregach rozbitych i uciekających oddziałów tureckich, które uchodziły przed pościgiem armii bułgarskiej, pozostawiając po drodze zmarłych i chorych na cholerę.

Ucieczkę ludności, dziesiątkowanej nie tylko przez kule nieprzyjacielskie, ale i straszną epidemię, od której niepodobna już uciec, przedstawia nasza illustracya.



Władysław Mickiewicz we Lwowie: Władysław Mickiewicz (X) w towarzystwie prof. dra Kallenbacha opuszcza Dom akademicki.



Początek zawieruchy europejskiej: Na polu bitwy pod Kumanowem.

Władysław Mickiewicz we Lwowie.

Od kilku dni Lwów gości bardzo sympatycznego gościa. Na zaproszenie komitetu, który urządził obchód jubileuszowy ku czci Kraszewskiego, przybył do Lwowa Władysław Mickiewicz, syn Adama, aby na wieczorze Kraszewskiego w teatrze miejskim wygłosić odczyt o wspomnieniach o Kraszewskim.

Świat literacki i naukowy zgotował we Lwowie Mickiewiczowi serdeczne przyjęcie. Na wieczorze ku czci Kraszewskiego urządzono mu gorącą owacyę. Również serdecznie witała go młodzież akademicka, która w sali Czytelni akademickiej urządziła na jego cześć uroczystą Akademię.

Także Koło literacko-artystyczne pospieszyło



Początek zawieruchy europejskiej: I. Dzieci tureckie witają bułgarską Joannę d'Arc, Zofię Jowanowicz, walczącą w szeregach armii. II. Korespondent wojenny na placu boju. III. Jeńcy tureccy uprzątają śnieg w Cetynii. IV. Wzięty do niewoli pod Kumanowem dowódca turecki Fuad-bey w twierdzy belgradzkiej.

z hołdem dla syna największego z polskich wieszczów.

Władysław Mickiewicz stale przebywa w Paryżu, gdzie dom jego jest ośrodkiem całej polskiej kolonii, zawsze chętnie otwarty dla wszystkich rodaków naszych, których losy życia zagnają nad brzeg Sekwany. Jako duchowy spadkobierca idei swego ojca, Mickiewicz poświęcił swe zdolności specyalnie zbieraniu i ogłaszaniu materyałów o ojcu. Z pod pióra jego wyszło także kilka doskonałych przekładów francuskich pism Słowackiego, Krasińskiego, H. Rzewuskiego, Czajkowskiego i Kraszewskiego. Jako właściciel księgarni polskiej w Paryżu popiera usilnie propagandę idei polskich poza granicami. Urodzony w r. 1838 jest dzisiaj jednym z najpoważniejszych nestorów wśród polskich literatów.



Zbrodnia jasnogórska przed sądem: Adw. Klevna, obrońca Macocha. (Fot. Z. Maj herski, Piotrków). Adw. First, obrońca Heleny Macochowej. Adw. Czarmiński, obrońca Olesińskiego. Adw. Radoicki, obrońca Starczewskiego. Adw. Chądzyński obrońca Olesińskiego.



Początek zawieruchy europejskiej: Teodor Edl, delegat austro-węgierskiego ministeryum spraw zagranicznych, wysłany do Prizrentu, celem odszukania konsula Prochaski.



Początek zawieruchy europejskiej: Wojska bułgarskie w Salonikach.

Zbrodnia Jasno-górska przed sądem.

W Piotrkowie roztoczył się znowu ponury obraz zbrodni jasnogórskiej i jej potwornych bohaterów, którzy stanęli przed sądem na apelacyjnej rozprawie.

Szczegóły tej strasznej zbrodni zbyt świeżo tkwią w pamięci czytelników, aby trzeba było je przypominać. Warto zaznaczyć tylko, że tym razem Damazy Macoch wystąpił w nowej roli oskarżyciela. Gdy na pierwszej rozprawie starał się wszelkemi sposobami osłaniać Helenę Krzyżanowską-Macochową, obecnie usiłował spędzić na nią całą winę. Ona nie tylko wiedziała o zbrodni, ale nawet popchnęła go do morderstwa. Sam zato uderzył w nutę skruchy, przerywając swe zeznaną ciągłym płaczem... Płakała również Helena Macochowa, płakali inni oskarżeni. Ta spóźniona skrucha nie mogła jednak wywołać litości dla tych, co tak po-



W obronie rękodzieła i przemysłu galicyjskiego: Uczestnicy krajowego wiecu rękodzielników i przemysłowców przed gmachem sejmowym we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Początek zawieruchy europejskiej: Konsul austro-węgierski w Prizrencie, Oskar Prochaska, którego zniknięcie wywołało ostry zatarg pomiędzy Austryą a Serbią.

tworną zbrodnią sprofanowali świątynię jasnogórską... Nie wzruszyła również sądu 2-ej instancyi, który oskarżonym powiększył znacznie karę. Główny bohater zbrodni jasnogórskiej, Macoch, został skazany jący dotychczas na wolności, został skazany na 3 lata rot aresztanckich za kradzież funduszów klasztornych, przyczem sąd zarządził natychmiastowe jego uwięzienie. Dwaj pozostali oskarżeni, Pertkiewicz tycznym płaczem. Nikt jednak skazanych nie żałował. Ciężka spotkała ich kara, ale wielkie były też ich winy!



Zbrodnia jasnogórska przed sądem:
Ława oskarżonych i obrońców: (X) Damazy Macoch, (XX) Oleśiński. (Fot. Z. Majcherski, Piotrków).
Ława oskarżonych i obrońców: W ostatnim rzędzie siedzą: Damazy Macoch, Starczewski i Helena Macochowa.

tym razem za morderstwo uplanowane na 15 lat ciężkich robót, a Helena Macochowa, (skazana pierwotnie na krótkoterminowe więzienie) otrzymała obecnie za ukrywanie zbrodni 6 lat ciężkich robót. Za tę samą zbrodnię skazano również Starczewskiego na 8 lat ciężkich robót. Bazyli Olesiński, pozosta i Cyganowski, tylko przypadkowo i bez żadnej winy wplątani w tę potworną sprawę, zostali nareszcie uniewinnieni.

Wyrok ten sprawił na zasądzonych piorunujące wrażenie. Helena Macochowa i Bazyli Oleśiński, którzy spodziewali się uwolnienia, przyjęli karę spazma-



Początek zawieruchy europejskiej: Odwrót bateryi tureckiej po klęsce pod Lüle-Burgas.

W obronie rękodzieła i przemysłu galicyjskiego.

Sprawa reformy wyborczej do sejmu galicyjskiego nie ustępuje z porządku dziennego obrad zjazdów, jakie w Galicyi się odbywają. Przed kilku dniami rękodzielnicy i przemysłowcy galicyjscy zwołali wielki, manifestacyjny wiec do Lwowa, aby na nim omówić postulaty swoje w odniesieniu do projektów reformy wyborczej. Jak wiadomo bowiem, istnieje zamiar, aby w nowej ordynacyi wyborczej zapewnić także Izbom handlowym i przemysłowym, jako przedstawicielkom rękodzielników i przemysłowców, odpowiednią reprezentacyę w sejmie. Projekty, wniesione już, proponują przyznanie im 2 mandatów. Rękodzielnicy i przemysłowcy domagają się natomiast 9 mandatów.



Zbrodnia jasnogórska przed sądem: Damazy Macoch na apelacyjnej rozprawie w Piotrkowie.

W obradach wiecu lwowskiego wzięło udział kilkuset delegatów z całej Galicyi. Skład prezydyum tworzyli pp. J. Schirmer i Jul. Zórki ze Lwowa, Piotr Kosobucki z Krakowa i T. Hodorowicz ze Stanisławowa. Referował sprawę dyrektor Ohly.

W południe udała się do marszałka krajowego hr. Gołuchowskiego deputacya imieniem wiecu, która przedłożyła mu uchwalone rezolucye. Również deputacya była u namiestnika dra Bobrzyńskiego.

Po południu obradowano dalej nad położeniem rękodzielników w kraju. Przemawiało wielu mowców, którzy podnosili różne postulaty sfer interesowanych.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

12

Stałam w oknie, tyłem do pokoju zwrócona, zajęta składaniem owej paczki z listami, gdy nagle straszny huk i przeraźliwy krzyk Zuzi przejął mię śmiertelną trwogą. Co żywo, dygocząc cała, odwróciłam się, ale na razie nic dostrzedz nie mogłam, bo ogromna, dusząca chmura kurzu, wzbijająca się ku górze, zasłoniła zupełnie widok, tylko piszczący, przerażony głos Zuzi rozlegał się głośno:

— O laboga! laboga!

Tak okropny strach mię przejął, że po prostu skamieniałam, nogi podemną się zachwiały i musiałam się o ścianę oprzeć, nie śmiejąc się ruszyć, zresztą nie miałam siły po temu. Krzykowi Zuzi towarzyszył nieustanny, drażniący szelest obicia i przez chwilę zdawało mi się, że moja towarzyszka ujrzała jakieś widmo, jakąś marę grobową, że ściana pękła, sufit się zawalił, czy ja wiem wreszcie, co się stało, to tylko wiedziałam, że coś okropnego. Ale na szczęście Zuzia przestała krzyczeć, owszem odezwała się:

— Panienko, gdzie panienka jest? to nic... niech panienka się nie boi...

— Co się stało? — zapytałam drżąc ciągle.

— Nic, stolik się przewrócił.

Powoli kurz począł opadać i ujrzałam Zuzię, stojącą na środku pokoju, z podwiniętemi spódniczkami do góry tak, że jej nogi (a przyznać muszę, że ma ładne i małe) do kolan prawie było widać, a obok niej leżał rozbity stoliczek, szufladka z niego wypadła, a z niej wysunęły się jakieś paczki i jakaś książka maleńka. Okazało się, że Zuzia, niezadowolona z moich poszukiwań, kręcąc się i szastając po pokoju, zawadziła mocno wykrochmalonemi spódniczkami o ów maleńki, nieomal filigranowy stoliczek, przewróciła i była jedynym powodem tego przestrachu, jaki mię ogarnął tak, że przyjść do siebie długo nie mogłam. Zgniewana tem jej zachowaniem się, zadzieraniem spódnic, szastaniem się na wszystkie strony, kręceniem nosem, zgromiłam ją surowo i nie zważając na to, że może sobie zabrudzić śnieżnej białości mankietki, kazałam jej na pół zgruchotany stoliczek podnieść i wypadłą z szuflady paczkę i książkę mnie podać. Zrobiła to pospiesznie, nie zważając, że jej spódniczki w kurzu się walają i wręczając mi ową paczkę i książeczkę, pocałowała mię w rękę, przepraszając za swoją nieuwagę i za to, że mię takiego przestrachu nabawiła. Nie odpowiedziałam jej nic na to, bo zajęta byłam przeglądaniem książki, a raczej maleńkiej książeczki, oprawnej w skórę, niegdyś ślicznie wyciskaną i złoconą. Był to, o ile na razie przekonać się mogłam, zbiór modlitw, a raczej książka do nabożeństwa, po francusku, ślicznie odbita elzewirami, jak tego rodzaju druk nazywał *l'abbé Constant*, wykładający historyę na pensyi pani Campsone. Były tam przed tego jakieś napisy, ale mocno wyblakłe, a w komnacie robiło się coraz ciemniej, tak że mimo to, iż mam doskonałe oczy, tych kilku wierszy odczytać nie mogłam, przytem Zuzia nalegała, żeby stąd wyjść jak najprędzej. Nie było tu już co robić i duszące powietrze, przepełnione kurzem, który od owej katastrofy stoliczkowej jeszcze się kłębił w tej małej izbie, coraz większe ciemności zalegające ją, monotonny plusk deszczu na dworze, nakoniec nieustanny, drażniący mię nadzwyczajnie szelest oderwanego obicia, wszystko to spowodowało, że zabrawszy ze sobą stare listy, książeczkę i jakąś paczkę papierów, owiązanych spłowiałą wstążką, wyszłam nakoniec z tej ponurej, tajemniczej komnaty.

W bibliotece było widniej a nadewszystko powietrze świeższe, bo napływało nieustannie z zewnątrz przez otwarty lufcik. Nie myślałam się tu zatrzymywać, ani też szukać książek geograficznych i historycznych, jak mi to dziadunio radził, bo jeżelim tu przyszła, to nie dlatego, by się zajmować geografią, ale dlatego, że chciałam wogóle zapoznać się z budową zamkową, a nadewszystko poszukać jakich śladów pobytu mej nieszczęśliwej prababki. Bo nieustannie mi przeczucie mówiło, że jak ona kochała się w Dolabelli i była podobna do mnie i to samo, co ja, nosiła imię, tak i ja kocham się także w Dolabelli i pewno mnie taki sam, jak i ją, los spotka. Jaki był ten los, nie wiedziałam, prócz tego, że była w tym zamku więziona; otóż pragnęłam koniecznie dowiedzieć się, czy pani chorążyna, poetycznie wcielona na portrecie w nikłą, powiewną postać cienia, tutaj umarła i w której komnacie ją więziono. Zdawało mi się, że nie gdzieindziej, tylko w tej posępnej izbie za biblioteką nieszczęśliwa kobieta długie godziny samotności pędzić musiała i swój wymowny pamiętnik kreśliła. Miałam przytem w ręku papiery, które może będą mogły jakie światło rzucić na tę ponurą tragedyę rodzinną i spieszno mi było przejrzeć je w moim zacisznym buduarze.

Ale ponieważ wszystko w tym dzienniku zapisuję i nic nie ukrywam, więc zanotuję i ten fakt, choć nie ma on żadnego głębszego znaczenia. Idąc ku drzwiom, obok jednej z szaf bibliotecznych wzrok mój padł na grzbiet książki, na której złoconemi, dużemi literami, jasno od okna oświeconemi, wyczytałam wyraz „Faublas". Odrazu przypomniałam sobie, że kiedyś tam, jeszcze na pensyi, Hortensya mówiła mi, że czytała francuski opis przygód kawalera Faublas, że są one bardzo interesujące i jak się wyraziła *très piquantes*, przyczem dodała te słowa: „ale ty Julie, z twoją seraficzną niewinnością, nie powinnaś ich czytać, dlatego ci tej książki nie dam". Oczywiście tembardziej mię zaciekawiła i wzbudziła we mnie chęć przeczytania tej historyi, ale tak ją gdzieś schowała, że mimo poszukiwań znaleźć jej nie mogłam. Otóż teraz nikt mi nie przeszkodzi, pomyślałam sobie, w przeczytaniu tych pikantnych przygód kawalera Faublas i nie zastanawiając się nad tem, co czynię, że może nie wypada, abym brała do rąk taką książkę, otworzyłam szafę i uradowana schwyciłam co prędzej tomik, ślicznie oprawny i suto złocony, poczem opuściłam z Zuzią bibliotekę, zamknąwszy ją starannie na klucz.

Szybko przebiegłam przez korytarz z portretami, nie patrząc na smutne oczy „Cienia", które zdawały się ścigać mię i patrzeć na mnie, swą prawnuczkę, ze współczuciem i żalem i przed drzwiami mego apartamentu spotkałam potwora Kociubę, który widocznie na mnie czekał, bo kłaniając się niezgrabnie, rzekł:

— Dobrze, że jaśnie panna pułkownikówna idzie, bo nie wiem, co robić, jaśnie pana niema, a ja sam nijak nie chcę się rozrządzać...

— O co idzie? — spytałam.

— Bo to jaśnie panna pułkownikówna, kiedy jaśnie pana niema, jest przecież panią...

— Dobrze — przerwałam te filozoficzne uwagi — ale o co idzie?

— A to, przyjechał tu do zamku zbój z bandy tego... z przeproszeniem jaśnie panny, hycla Szydły, nazywa się Kuba... z przeproszeniem... niby na ten przykład, Smród...

Parsknęłam głośnym śmiechem, bo najpród nazwisko było arcyzabawne, a potem Kociuba z trudnością je wymówił, bo się widocznie żenował, przyczem drapał się po łysinie i z nogi na nogę przestępował. Na mój niepohamowany śmiech, któremu towarzyszył piskliwy głosik Zuzi, Kociuba spojrzał na mnie z pod oka, jak to zawsze czynił, ilekroć śmiałam mu się w oczy, co się zresztą często przytrafiało, bo jest to w najwyższym stopniu karykaturalnie komiczna figura. Z miny jego widzę, że ma bardzo smutne wyobrażenie o moim rozumie.

Ale przywstrzymałam się od śmiechu, bo sobie przypomniałam o zleceniu, jakie Szydło od dziadunia otrzymał i to poselstwo jego zwiastowało mi niewesołą zaiste nowinę o losach mnicha Gwidona. Zapytałam więc:

— Cóż chce ten... jakże tam? brzydko się nazywa jakoś...

— A brzydko, Kuba Smród.

— Cóż on chce?

— On nic nie chce, ino przyjechał na wózku nowiusieńkim krakowskim i końmi klasztornemi i peda, że znaleźli to w puszczy i wedle rozkazania jaśnie pana, Szydło kazał Kubie tu do zamku przyprowadzić.

— No, więc dobrze. Czegóż Kociubski chce?

— Ano... niby, co ja mam z tem robić?

— Zostawić aż do przybycia dziadunia. Jak dziadunio wróci, to będzie wiedział, co z tem zrobić.

Kociuba podrapał się po łysinie i rzekł, zabierając się do odejścia:

— Ano, pewnie, że to będzie najlepiej.

Ale mnie zaniepokoiła mocno ta historya, więc pytam:

— Cóż gada ten posłaniec Szydły?

— On nic nie gada. Peda, że znaleźli w borze ten wózek i te konie, a że Szydło ma przykazane od jaśnie pana... Kat go wie, skąd taki przykaz, czy to jaśnie pan wdaje się w rozmowy z Szydłem?

Tu uderzył się w czoło i zawołał:

— Ani chybi, jaśnie pan natknął się dzisiaj gdzie w drodze na tego hycla i przykaz mu dał. Pewnikiem to tak jest.

Nie słuchałam tych przenikliwych uwag i domysłów potwora Kociuby, bo zaniepokojona, czy mnich Gwido nie wpadł w ręce Szydły, powzięłam dziwaczną myśl rozmówienia się osobiście z posłem polskiego Rinaldiniego, co takie brzydkie miał nazwisko. Odezwałam się więc:

— Niech Kociubski wprowadzi do stołowego pokoju tego posłańca, co się tak brzydko nazywa.

— Hi! hi! hi! — piszczała Zuzia, stojąca za mną.

Na twarzy Kociuby wymalowało się zdziwienie i oburzenie:

— Do stołowego pokoju? tego zbója?

— Tak, do stołowego pokoju.

— Ale jaśnie panno pułkownikówno, jakże to może być? Toć przecie ten Smród jest zbój, cham, a robactwo, z przeproszeniem, to aż trzęsie się na nim. Gdzież znowu? cały zmoczony, zabłocony, posadzkę zawala i czy to podobna, żeby jaśnie panna z takim rakarzem rozmawiała?

— Niech Kociubski nie rezonuje, tylko robi, co ja każę. Zaraz zejdę na dół.

Kociubski, usłyszawszy te słowa, stał przez chwilę z wyrazem takim na swem wąsatem obliczu, jakby mu ziemia z pod nóg się usuwała, a potem widząc stanowczość we mnie, machnął rozpaczliwie ręką i syknął:

— Ha! skoro taki rozkaz... to rozkaz!

I poszedł. Ja tymczasem skoczyłam do siebie i znalezione w bibliotece i archiwum papiery schowałam do swego biurka pod klucz i podczas gdy Zuzia swe ręce myła i spódniczki z kurzu otrzepywała, zeszłam na dół. Tam już w sieni czekał kamrata Szydły, co się tak brzydko nazywał, bo go Kociuba jednak do pokoju stołowego nie wpuścił i podobno dobrze zrobił, gdyż koło nóg imci pana Smroda utworzyła się brudna kałuża wody. Okropny to jakiś był człowiek i za nic w świecie nie chciałabym się z nim spotkać gdzieś w lesie. Ubrany w zwyczajną siermięgę chłopską, stał z gołą, rozczochraną głową, zarośnięty, jak niedźwiedź, jak wilk z podełba patrzący, niespokojny w ruchach, bo widać obawiał się czegoś, mając zapewne dużo na sumieniu. Gdy mię zobaczył, skłonił się pokornie, a ja pytałam:

— To ciebie Szydło przysłał?

— Tak.

— Czy nic nie kazał powiedzieć?

— Nic, jeno kazał wózek i konie tu do Zamkowej Woli odprowadzić i oddać jasnemu panu dziedzicowi.

— A gdzieżeście ten wózek znaleźli?

— Kole Bartoszewiny w głuchym borze.

— A na wózku nikogo nie było?

— Nikogoj.

Wszystko to bardzo dziwnem mi się wydało, a nadewszystko nie objaśniało mię w kwestyi, która mię najwięcej obchodziła. Chłop stał przedemną z miną głupkowatą, myśię, że udaną.

— Nie spotkaliście w ostatnich czasach nikogo w lesie?

— Nie. chocia dobrze szukaliśwa.

— Aa! czy wiesz, kogo macie szukać?

— Wiem, bo nam Szydło pedział.

— I nie znaleźliście?

— Nie!

— Możesz odejść, powiedz Szydle, żeby pamiętał o tem, o co go panienka z Zamkowej Woli prosiła. Będziesz pamiętał?

— Będę.

Chciałam jeszcze lepiej wysondować tego monosylabami odpowiadającego, wcale nie romantycznego zbójcę. ale wszedł do sieni Kociuba, więc zawróciłam i poszłam do siebie. Bądź co bądź zadowolona byłam z tego, że pięknego mnicha Gwidona nie znaleziono, choć natrafiono na ślad jego pobytu w borze, bo na wózek i konie klasztorne. Dlaczego jednak rzucił on na Opatrzność Boską ten wózek i konie, zrozumieć nie mogłam, a lakoniczne odpowiedzi jego posła, po namyśle i rozebraniu szczegółów tej rozmowy, wzbudziły we mnie podejrzenie, że wie on coś więcej nad to, co powiedział. Może Szydło znalazł Gwidona? a znalazłszy, wierny danemu mnie przyrzeczeniu, puścił go wolno, tylko mu wózek i konie odebrał? W każdym razie znalazł się szlachetnie, a ja nie mam co o tem myśleć. bo nic nie wymyślę. Przyjdzie przecie czas, że o wszystkiem się dowiem.

Deszcz ciągle pada, wieczór się robi, w zamku usypiająca cisza panuje i czas złożyć pióro.

D n i a 31 m a r c a. Dziadunio jeszcze nie wrócił i nie mógł wrócić, skoro dziś o godzinie 8-mej rano miał się stawić w urzędzie, „becyrkiem" tu zwanym. Deszcz przestał padać, ale brzydkie chmurzyska przewalają się po niebie, dzień jest posępny, w zamku niezakłócony niczem, denerwujący spokój panuje, a ja

siedzę i piszę. Tragiczna przeszłość powoli rozjaśnia się przedemną...

Wczoraj wieczorem przejrzałam książeczkę do nabożeństwa, znalezioną w przewróconym przez Zuzię stoliczku. Na pierwszej zaraz karcie wyczytałam napis, skreślony staroświeckim charakterem i wyblakłym atramentem: „Na tej książce ś. p. moja najmilsza pani matka, Julianna *de domo* Czarnkowska, chorążyna Sandomierska, modliła się czasu swego więzienia. Stefan Nieczuja Dziaduski m. p. A. D. 1682".

Boże mój! Jakież okropne wrażenie wywarły na mnie te słowa tak proste, a tak wymowne w swym lakonizmie! jaki szereg myśli wzbudziły w mej biednej, stroskanej złowrogiemi przeczuciami głowie! Więc nieszczęśliwa moja prababka w tej maleńkiej książeczce szukała ulgi, niosła błagalną prośbę do Boga o ratunek w swej niedoli! ileż ona łez tu nad temi modlitwami wylać musiała! I zdawało mi się, że z tych pożółkłych kart podnosi się ku mnie nikła, wątła, rozpływająca się we mgle mara „Cienia", unieśmiertelnionego pendzlem jej kochanka, mistrza Dolabell'i... jej kochanka!.. I któż zbada tajemnice przeznaczeń ludzkich, kto mi powie, dlaczego ja, prawnuczka tej nieszczęśliwej, musiałam się zakochać w prawnuku jej kochanka!... Dlaczego? dlaczego?

Myśli te wywołały taki chaos w mej głowie, tak mnie zdenerwowały, że nie chciałam przeglądać tej fatalnej książeczki, choć zauważyłam, że były tam jeszcze jakieś napisy, ale odkładając ich odczytanie na później, wyszłam, sama nie wiedząc, gdzie i po co, bo przecież na dworze deszcz ciągle padał, chmury gęstniały i posępny mrok dnia dżdżystego powoli zapadał. W zamku całym panowała jakaś śmiertelna cisza, która mię dziwną, niepojętą trwogą a nawet bólem przejmowała. Chciałam poszukać Zuzi, która gdzieś zniknęła, zapewne słucha w oficynie pod zamkiem czułych piosnek imci pana Alfonsa Dziurkiewicza, nie dbając o to, że jej pani sama jedna błąka się po tym pustym, starym zamku, pełnym widm i mar przeszłości. Jej zdrowa, rześka, żądna życia natura nie jest w stanie zrozumieć uczuć, targających jej panią; ona tu nie widzi posępnych mar przeszłości, tylko niezadowolona jest z tej „starej rudery", jak nazywa zamek dlatego, że tu wszędzie pełno kurzu, który wala rąbki jej wykrochmalonych spódniczek i że zalotnego podkasania tych spódniczek niema komu pokazać, prócz jednemu panu Alfonsowi Dziurkiewiczowi.

Wyszłam więc jej poszukać, bo mi samotność ciążyła i przerażała i chciałam, by mię swym śmiechem głośnym, pustą rozmową, czasem ploteczką jakąś, niemiłosiernem wydrwiwaniem mowy i figury potwora Kocuby lub starej klucznicy Gruszki Gruszkowskiej, nieco rozweseliła i oderwała od melancholijnych myśli o mej prababce, o jej więzieniu i modlitwach. Już teraz byłam pewna, że nie gdzieindziej, tylko w bibliotece, a głównie w sąsiedniej izbie z archiwum, więziona była przez swego męża-tyrana nieszczęśliwa moja praprababka. Wszystko za tem przemawiało. Obie te izby mieszczą się w starej, odrębnej baszcie, której grube mury żadnego głosu na zewnątrz przepuścić nie mogą; okna opatrzone są kratami, drzwi mocno okute, świadczą naiwymowniej o strasznem przeznaczeniu tych komnat. A przytem ta książeczka, na której się modliła nieszczęsna ofiara zazdrości mężowskiej, stanowi wyraźny ślad jej pobytu tamże. Kto wie zresztą, co mi papiery, zabrane z archiwum powiedzą! Ale jeszcze tego wieczoru miałam się przekonać, że przypuszczenie moje jest niemal zupełnie pewnem.

Zeszedłszy na dół w poszukiwaniu Zuzi, spotkałam w sieni starą klucznicę Gruszkę. Rada, że przecież na kogoś żyjącego w tej pustce się natknęłam, poczęłam z nią rozmawiać i w tej rozmowie przypomniała mi się myśl, oddawna w mej głowie powstała, czy poczciwa staruszka, od dzieciństwa wychowana w tym zamku, nie wie o jakich podaniach, dotyczących mych przodków, a głównie nieszczęśliwej chorążyny „Cienia". Wszak nie kto inny, tylko klucznica powiedziała kiedyś Zuzi, że są noce, w których widmo mej praprababki snuje się po salach zamkowych i jęczy żałośliwie. Korzystając więc z nieobecności dziadunia, postanowiłam Gruszkę wziąć na konfesatę i wypytać się jej o wszystko, co wie i nie wie.

— Czy Gruszkowa — spytałam jej więc — ma czas?

— Mam! mam! dla drogiej panienki mam zawsze czas. Bo co? czem mogę służyć?

— Tak tu pusto i cicho w zamku, siedzę sama, Zuzia gdzieś przepadła...

— Pewnikiem do Dziurkiewicza z przeproszeniem panienki zęby szczerzy. Bo po co to jasny pan tego latawca aż z Warszawy sprowadził! Wiadomo przecie, że lepsza wody szklanka, niźli Warszawianka.

Roześmiałam się na to zabawne przysłowie, ale stanęłam w obronie Zuzi, bo bądź co bądź była to dobra dziewczyna i do mnie przywiązanie okazująca, a że słucha brzdąkania na gitarze i czułych aryi Dziurkiewicza, to nic dziwnego, bo się nudzi, ona, przywykła do życia wielkomiejskiego. Wkońcu prosiłam Gruszki, aby poszła ze mną do mego pokoju i przepędziła tam wieczór, bo mi smutno i sama siedzieć się boję.



W zamku nie zakłócony niczem spokój panuje, siedzę i piszę!

— Ano... juścić to prawda... ale proszę łaski panienki, bać to się ta niema czego. Bóg wiara, sen mara. Pewnie, że samej siedzieć w tym zamku przykro, do tego młodej osobie. Z ochotą pójdę, jeno zarządzę jeszcze w kuchni, bo te leniwe dziewczyska, jeno ich z oka spuścić, zara ręce założą i śpią, albo z parobkami, z przeproszeniem, gzy czynią. Zarasieńko idę... pewnie, pewnie, że samej tam na górze straszno. Zara przyjdę, choć po schodach to mi ciężko drapać się, bo nożyska mi popuchły, dźwigając przez tyle lat grzeszne cielsko. Żeby tak na mnie, to jabym temu latawcowi Zuzi dobrze uszów natarła... ale panienka za dobra, a z naszą służbą nic dobrocią nie zrobi. Chamstwo to, proszę złotej panniunci. Zarasieńko przyjdę.

Wróciłam więc na górę i jakoż Gruszka słowa dotrzymała, bo może w półgodziny zjawiła się zadyszana, spocona i przepraszając mię za swoją śmiałość, siadła na krześle, oddychając ciężko i narzekając na swoje lata i popuchnięte nogi od dźwigania „grzesznego cielska". Noc już była zupełna, a w okna zaglądały ponure ciemności, tak że nie chcąc na nie patrzeć, pospuszczałam firanki i wszystkie światła w mych pokoikach pozapalałam, żeby było widno i żeby z kątów nie wypełzały ku mnie posępne mroki i cienie. Deszcz wciąż padał i monotonny plusk wody, z rynien spływającej, przerywał senną ciszę tego wieczoru. Zuzia nie wracała, z czego byłam zadowolona, bo nie chciałam, żeby słuchała mej rozmowy z poczciwą Gruszką. Byłyśmy więc same.

Gawędząc o tem i o owem, kołując zdaleka, zaczęłam wkońcu rozmowę o tem, co mię głównie interesowało i dlaczego starą i dość nudną klucznicę do siebie sprowadziłam.

— Czy to prawda — spytałam — że po zamku w pewne noce włóczy się jakieś widmo?

Gruszka obejrzała się trwożliwie i rzekła, ale jakoś wahająco:

— Ej bajka... gdzieżby znowu... żadnych widm przecie niema na świecie i księża zakazują w to wierzyć.

Zrozumiałam tę odpowiedź wahającą się, bo wiedziałam przecie, że dziadunio surowo zakazał opowiadać i straszyć mię temi baśniami, jak się wyraził. Rzekłam więc:

— Niech się Gruszkowska nie boi, słówka nawet nie powiem o tem dziaduniowi.

— Ale kiedy jaśnie pan surowo zakazał o tem mówić.

— Wiem o tem, ale Gruszkowska może być spokojna, że dziadunio się nie dowie.

— Bo gdyby jaśnie pan się dowiedział o tem, miałabym za swoje, niech Pan Jezus broni!

Uroczyście ją zapewniłam, że wszystko, co mi powie, w największym zachowam sekrecie i wtedy dopiero, nachyliwszy się do mnie, z wyrazem pełnym tajemniczości na swej poczciwej, jak księżyc w pełni zaokrąglonej twarzy, szeptać zaczęła:

— Prawda święta, prawda panniunciu, sama widziałam tę marę, żebym tak jutra nie doczekała, jeżeli łgam.

— Widziała ją Gruszkowska?

— Widziałam, widziałam na własne oczy.

Tu otarła pulchną ręką ślinę z ust i ciągle szeptem mówiła:

— To było tak. O! już temu będzie na świętą Julią akuratnie piętnaście... tak, piętnaście lat... Bo trzeba panniunci wiedzieć, że ta mara ukazuje się wtedy jeno, gdy jakie niebezpieczeństwo albo nieszczęście ma przyjść na familią państwa Dziaduskich. A właśnie wtedy była wojna, panniuncia tego nie pamięta, bo była... ej, co ja też gadam, chyba jeszcze panniunci nie było na świecie...

— Jakże mię nie mogło być, kiedy ja mam teraz siedmnaście lat...

— Tak? a prawda... prawda. No, ale panniuncia była maleńka, to tego nie pamięta i jaśnie pani pułkownikowa jeździła wtedy za granicę. Otóż tedy była wojna, co to ją pan Naczelnik Kościuszko rozpoczął. Niech Bóg broni, co to były za czasy. Ani dnia, ani godziny spokojnej, choć to niby wydaje się, że w nasze góry i bory pies nawet nie trafi. To ten, to tamten, a każdy krzyczy: dawaj! Jaśnie pana dziedzica nie było, bo zwołał wszystkich strzelców, gajowych, uzbroili się w strzelby, kordelasy, siedli na konie i pojechali na wojaczkę. Piętnastu tego było z jaśnie panem, a na dziedzińcu to był taki płacz i lament, że sądny dzień...

— Któż tak płakał? — spytałam.

— Kto? a żony i różne baby... ja sama, chocia nie miałam ani męża, ani brata, ani też żadnego jenszego kochanka między temi wojakami, rozbeczałam się, że aż mię z przeproszeniem w żywocie coś zabolało. Ano, co robiący, pojechali do pana Kościuszka i ani słychu, ani dychu o nich. W zamku pustki, jeno same baby i dziewki i też stary nieboszczyk podstarości Antoni. Umarł nieboraczysko, będzie temu pięć lat na św. Michał, a człek był dobry, jeno trochę się napijał. Światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen... Zapisał na kościół Świętokrzyski sto złotych na msze za swoją duszę, co dobrze...

— Ale cóż to widmo? — przerwałam te czułe wynurzenia o podstarościm Antonim.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Początek zawieruchy europejskiej: Karabiny tureckie, zdobyte przez Serbów w Uskübie.

30 letniej wcielona do państwa bizantyńskiego.

Przy pomocy Serbii i Rumunii wybiła się Bułgarya znowu na wolność w r. 1186. Wiek XII i XIII pełen był bratobójczych walk między różnymi pretendentami do tronu, którzy, popierani bądź przez Serbię, bądź przez Grecyę, wzajemnie strącali się z tronu. W r. 1389 Turcy po zwycięstwie na Kosowem Polu zdobyli Bułgaryę. Od tej chwili rozpoczęły się ciężkie czasy



Początek zawieruchy europejskiej: Szczątki wojskowego magazynu tureckiego w Uskübie.

Nowa potęga na Bałkanach.

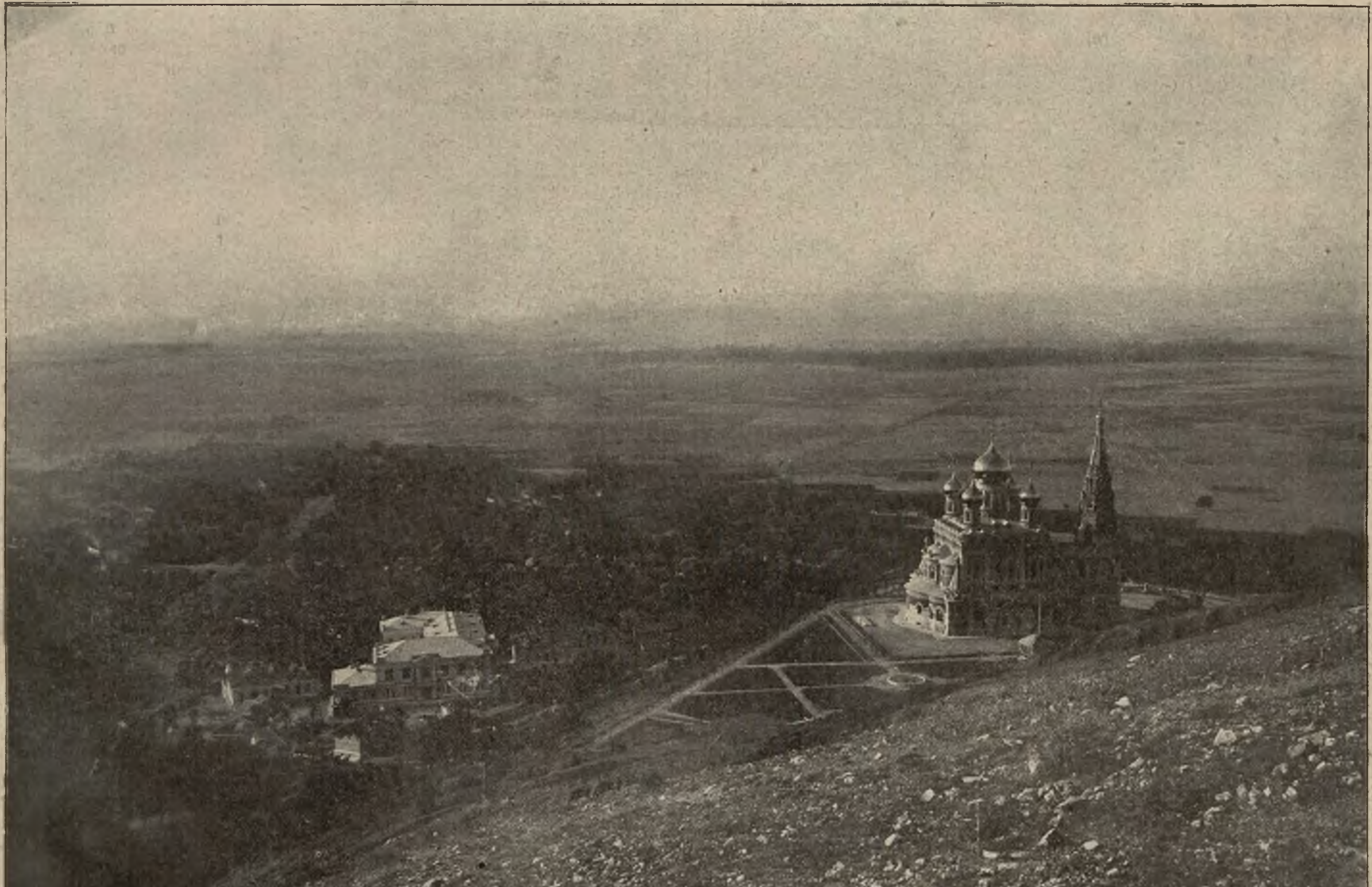
Na półwyspie bałkańskim rozrasta się obecnie nowe państwo, które dzięki bezsilności Turcyi zajmie najpoważniejsze i najbardziej wpływowe stanowisko. Na czele związku państw bałkańskich staje Bułgarya, która po ukończeniu wojny z Turcyą obejmuje ster polityki państw bałkańskich.

Historya Bułgaryi jest pełna przejść i wielkich momentów. Założona IX w. p. Chr. była początkowo dosyć silnem niezależnem państwem. W XI w. została po krwawej wojnie



Początek zawieruchy europejskiej: Baterya turecka, zniszczona w bitwie pod Kumanowem.

dla Bułgaryi. Przyszły prześladowania narodowe i religijne, które nieraz przeradzały się w wielkie okrucieństwa ze strony Turcyi. Taki stan rzeczy z początku przygnębiał naród bułgarski, z biegiem lat jednak przyszło otrzeźwienie i rozpoczęły się powstania. Było ich kilka, mianowicie w latach 1821, 1836, 1841, 1849 oraz 1857. Były one jednak tłumione przez rząd turecki. Największe powstanie wybuchło w r. 1876, a ostateczne zakończenie znalazło ono przez wojnę rosyjsko-turecką. Na mocy układu w San Stefano Bułgarya



Nowa potęga na Bałkanach: Szypka w Bułgaryi, wieś przy wąwozie tej samej nazwy, upamiętniona w wojnie rosyjsko-tureckiej.



Początek zawieruchy europejskiej: Port i miasto albańskie Durazzo, przedmiot sporu pomiędzy Austryą a Serbią.

odzyskała wolność. Na stolicę kraju wyznaczono Sofię, a pierwszym księciem wybrany został książę Battenberg, który przyjął imię Aleksandra I.

W r. 1884 powiększyła się Bułgarya przez przyłączenie Rumelii. W r. 1886 wybuchła rewolucya przeciw Aleksandrowi, który złożył władzę, a w miejsce jego wybrano księciem Ferdynanda Koburskiego, który objął rządy, składając przysięgę na konstytucyę w r. 1887.

Książę Ferdynand zdołał uzyskać uznanie mocarstwowego stanowiska dla Bułgaryi, a dzisiaj dzięki zwycięskiej woinie, kraj ten stanie się na Bałkanie pierwszorzędną potęgą.



Początek zawieruchy europejskiej: Tureckie okopy pod Czataldżą.

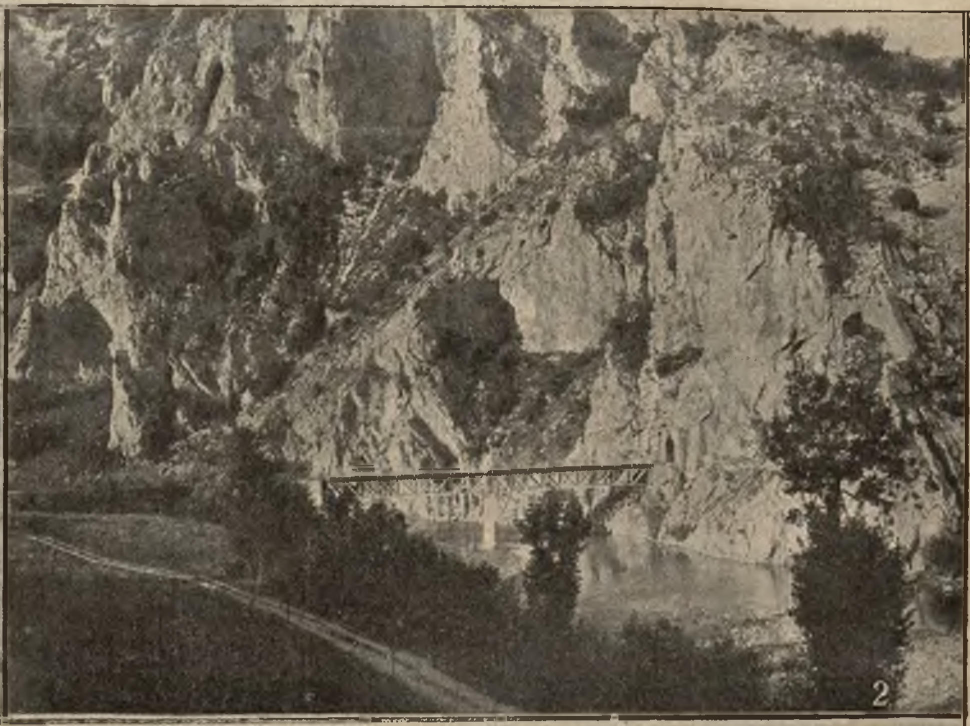
Sam kraj jest górzysty, zamieszkały przeważnie przez Bułgarów, którzy stanowią 73% ludności; oprócz tego znajduje się 19% Turków, trochę Greków, Żydów hiszpańskich i Cyganów. Rolnictwo jest głównem zajęciem Bułgaryi. Uprawiaą jest głównie pszenica, kukurudza, żyto, jęczmień, owies, proso i wyka.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi nowego wielkiego państwa na Bałkanach.

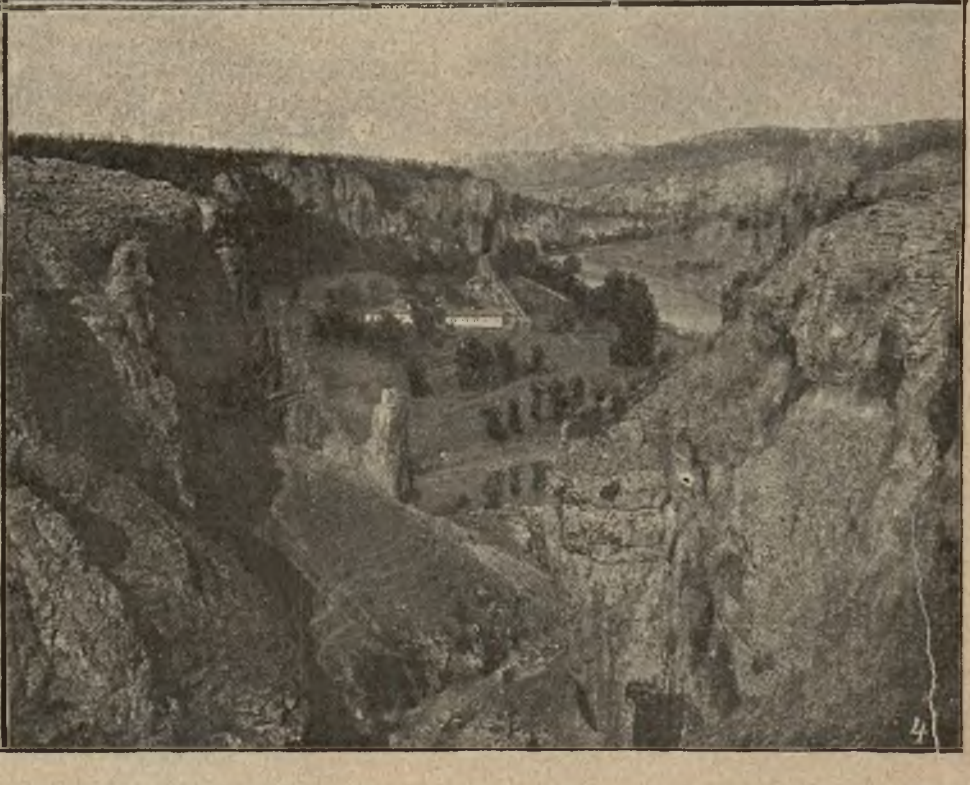
Początek zawieruchy europejskiej.

Od kilku dni z pola walki nadchodzą skąpo wia-









Nowa potęga na Bałkanach: Widoki z Bułgaryi; 1. Fort bułgarski, 2. Tunel na linii kolejowej Zofia-Plewna, 3. Luli-Brod na linii Zofia-Plewna, 4. U podnóża góry Karlukowo.



Początek zawieruchy europejskiej: Wjazd króla greckiego do Salonik.



Początek zawieruchy europejskiej: W okopach pod Czataldżą.

domości. Główna uwaga koncentruje się teraz w trzech punktach, mianowicie pod Konstantynopolem na linii Czataldży, pod Adryanopolem i Skutari. Trzy te punkty bowiem są jedynymi, na których resztki wojsk tureckich dają jeszcze skuteczny odpór przewadze wojsk związku bałkańskiego.

Linia obronna Czataldży zaatakowana została przez Bułgarów z początku bez powodzenia. Broniona zarówno swem naturalnem położeniem, jak i dosyć silnymi fortami, oraz świeżą armią, która nadeszła z Azyi Mniejszej, oparła się zwycięskiemu pochodowi Bułgarów skutecznie. Państwa sprzymierzone jednak postanowiły za wszelką cenę ją forsować. To też w obecnej chwili wszystkie zwycięskie oddziały greckie i serbskie, oraz kolumna zachodnia bułgarska, które po doszczętnem zniesieniu Turków w Macedonii, są wolne, zostały przerzucone na teren Czataldży, tak iż za kilka dni armia sprzymierzeńców będzie znacznie przewyższała armię turecką i tem samem i tu opór Turcyi zostanie złamany.

Operacye wojenne pod Adryanopolem prowadzone są obecnie przez armię serbsko bułgarską, ale w ostatnich dniach nie posunęły się wiele naprzód.

Natomiast Serbowie maszerują pospiesznie ku



Początek zawieruchy europejskiej: Żołnierz bułgarski rozdaje papierosy jeńcom tureckim.



Początek zawieruchy europejskiej: Jen. Muhtar basza dozoruje przewozu rannych z Czataldży do Konstantynopola.

wybrzeżom Adryatyku, aby zająć porty Albańskie. Ta impreza Serbii wywołała w Europie burzę, która z dnia na dzień staje się groźniejsza, tak, iż może za sobą pociągnąć nieobliczalne skutki.



Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla: Autor trylogii „Zygmunt August", Lucyan Rydel, z małżonką.

Państwa trójprzymierza. Austrya, Niemcy i Włochy, zaprotestowały bowiem energicznie przeciw naruszaniu terytoryum Albanii przez państwa bałkańskie. Najenergiczniej wystąpiła Austrya, która w zamysłach Serbów widzi poważne naruszenie swych interesów na Bałkanie. Trójprzymierze domaga się, aby Albanię uznano za państwo niezależne. Serbia nie tylko nie chce zastosować się do tych życzeń, ale jawnie występuje przeciw Austryi. Dowodnie okazało się to przez fakt, iż konsulów austryackich, którzy rezydowali w miastach albańskich Prizrencie i Mitrowicy, wojska serbskie traktowały jak jeńców wojennych. Wzbroniono im porozumiewania się z rządem austryackim. Konsul w Mitrowicy uciekł, a konsul Prohaska w Prizrencie zaginął i nie wiadomo, co się z nim stało.

Rzecz prosta, iż takie postępowanie Serbii dolało oliwy do ognia, a wojna jej z Austryą wisi prawie na włosku. Wobec zaś wybuchu tej wojny musiałoby przyjść do starcia pomiędzy trójprzymierzem a państwami trójporozumienia, które popierają żądania Serbów.

Stoimy więc w przededniu wielkich zawikłań. Wojna turecka, która początkowo miała być zatargiem ograniczonym do terenu Bałkanu, przez zawikłania polityczne staje się początkiem wielkiej zawieruchy europejskiej, która może rozpalić pożogę wojenną obejmującą wszystkie wielkie mocarstwa kontynentu.

Z jednej strony stoi Austrya, Niemcy, Włochy i Rumunia, z drugiej państwa trójporozumienia. Pokój zbrojny, utrzymywany przez tyle lat, zachwiał się obecnie, a nagromadzone siły wojenne we wszystkich państwach dochodzą już do zenitu napięcia.

Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla.

W ubiegłą sobotę teatr krakowski wystawił trzecią część trylogii L. Rydla „Zygmunt August", o której pierwszych dwóch częściach pisaliśmy już w poprzednim numerze. Część ta nosi tytuł „Ostatni" i przedstawia obraz ostatnich lat życia i panowania ostatniego Jagiellona oraz największego, wiekopomnego jego dzieła, Unii Polski z Litwą. Jak Unia ta wieńczy godnie i wspaniale dzieło żywota i panowania Zygmunta Augusta, tak ta trzecia część wieńczy trylogię, dzieło poety które najdonioślejsze i najpiękniejsze w twórczości znakomitego i popularnego piewcy polskich dziejów i polskiej chwały.

Rydel dziełem tem dokonał wielkiego czynu. Przed oczy potomków, żyjących w szarej, bezbarwnej powszedności dnia dzisiejszego, postawił postacie z czasów świetnych narodu, potężne, barwne, o wielkim rozmachu czynów, na tytaniczną zakrojonych miarę, o wielkiej skali uczuć serca i pomysłów rozumu. A postacie te natchnął prawdziwem życiem, bli-



Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla: Część II-ga trylogii, „Złote więzy": Zygmunt August (p. Adwentowicz) przy łożu konającej Barbary (p. Jarszewska).

skiemi i zrozumiałemi uczynił przez to dziwne jasnowidzenie duszy ludzi przeszłości, jakie tylko mocarna fantazya, wsparta miłością dla przedstawianych ludzi i rzeczy, daje wybranym. Słowem, wichrem natchnienia wielkiej sztuki powiało od tego dramatu dziejowego przez scenę, ożywiając martwe dekoracye, aktorom dając dusze dawnych ludzi, królów i wodzów, a widzom — wizyę sławnej przeszłości.

Podnieść też należy staranność i pietyzm, z jakiemi odniósł się do tego dzieła teatr krakowski. Dekoracye były wspaniałe, pojedyncze sceny pełne życia i majestatu rzeczy wielkich, a zarazem malownicze i barwne. Cechowało to reprezentacye wszystkich trzech części trylogii. W „Ostatnim" zwłaszcza scena Unii Lubelskiej, wzorowana na słynnym obrazie Matejki, przewyższyła nawet wszelkie wymagania i oczekiwania. Postacie i sprawy, które mistrz pendzla w natchnieniu wieszczem uplastycznił na płótnie, poeta ożywił arcypięknem, jędrnem słowem polskiem, a teatr wcielił w kształty z całem tem złudzeniem rzeczywistości i życia, jakie może dać scena. Wielkie rzeczy znalazły godnego piewcę, wielkie dzieło — godnych odtwórców w krakowskim teatrze.



Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla: Część II-ga trylogii, „Złote więzy", na scenie krakowskiej: Królowa Bona i Anna Jagiellonka przy łożu chorego Zygmunta Starego.



Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla: Część II-ga trylogii, „Złote więzy": Zygmunt August po przybyciu z Wilna wita się z królową Boną i Anną Jagiellonką.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

12)

— Jakto, czyżby panna Grandeau była takim stróżem moralności, iż mężczyzna nie śmie przestąpić jej progu?

— No, nie doprowadzajcie do wniosków absurdalnych. Bywają u niej dostawcy, a i was przyjmie, o ile udacie się z interesem. Lecz wizyty męskiej, nie pozostającej w związku z sprawami magazynu, nie zniosłaby bezwzględnie! — Gdzieżby! — Oto senes dla obywatela odważony, należy się dwadzieścia pięć centów... Co się zaś tyczy środka na szczury, mogę polecić „raticide Duvallon'a", za skutek nadzwyczajny ręczę. To mieszanina arszeniku z fosforem.

— Dobrze, będę pamiętał — na to Braconneau — i złożył należytość. Dowiedział się już, czego chciał i zabierał się do odejścia. Nie było to łatwem, bo skoro farmaceuta wpadł na temat myszy, nie uważał dysputy za wyczerpaną w pięciu słowach. Zaprosił gościa do zwiedzenia magazynu, i obejrzenia zastawionych tam trutek.

Skoro Braconneau znalazł możność dokładnego zapoznania się z terenem, podążył skwapliwie do tylnej ubikacyi, obwieszonej z góry do dołu pękami ziół suchych, zaszedł oczywiście i na szczupłutkie podwóreczko, łączące dom ten z sąsiednim. Długo przyglądał się fasadzie i zwrócił oko na tę właśnie ścianę, za którą mieściła się skrytka Saint Régeant'a. Z pierwszego piętra doleciał go głos świeży, wesoły:

— Jak szanowne zdrowie ojca Bizmuta? Lepiej, niż jego klientów, co? Siebie swymi preparatami nie trujecie?

— Żartujcie zdrowe! A przyjdziecie prosić o ślazowe cukierki, gdy się zaziębicie — odrzekł aptekarz ze śmiechem. — To jedna z pracownic u obywatelki Grandeau — dodał w formie wyjaśnienia. — Wesołe to, bo młode. Przezwały mię Bizmutem. Cóż mi to szkodzi, że pożartują.

Z każdą chwilą słabły podejrzenia Braconneau. W tej wesołej, a zacisznej zarazem atmosferze nie było nic kryminalnie tajemniczego. Żadnych nie dostrzegł podejrzanych ruchów. Ludzie, zamieszkujący ten ciasny kątek, ocierali się niemal łokciami o siebie, nie byłby ich uwagi uszedł żaden gość niezwykły, żadna odmiana: byłby niechybnie wiele o tem mówili. To istnie wiejskie zacisze nie licowało z niebezpiecznym spiskowcem, którego poszukiwał Braconneau. Cóżby tu jednak sprowadziło panią Lerebourg? Postanowił nie zrażać się pozorami i śledzić dalej. Pożegnał wśród mnóstwa dziękczynień dobrodusznego aptekarza i zaraz na ulicy odnalazł jednego ze swych ludzi, zdał mu dom pod l. 35 w szczególną opiekę. Tak rozumował: jeżeli Saint Régeant istotnie tu się ukrywa, to i obywatelka Lerebourg powróci. W takim razie, nie zwlekając ni chwili, przybierze sobie kilku agentów do pomocy i dom cały przeszuka. Coś zrobić musi, czy to w magazynie obywatelki Grandeau, czy może nawet w kryjówce Saint-Régeant'a.

Saint Régeant dwukrotnie wymykał się wieczorem do klasztoru, który Limoëlan tak często odwiedzał. Agenci Braconneau śledzili go wprawdzie sumiennie, lecz nie poznali. Wydał się im służącym magazynu Grandeau. Braconneau był jednak z góry powiadomiony, że prócz aptekarza i tapicera nie ma w domu tym innych mężczyzn, odrazu też powziął podejrzenie, że to Saint-Régeant wychodził. Sam objął posterunek, szedł krok w krok za wieczornym wędrowcem, choć mu się wydał za niski i za gruby, niemniej czekał nań pod klasztorem. Lecz zauważył go i poznał Limoëlan.

— Masz szpicla za sobą — zwrócił uwagę przyjacielowi. — Albo się bardzo mylę, albo to jest ten sam Lavernères, który omal przez pomyłkę Valorisa nie złapał nas na posiedzeniu komitetu pod Rudym Lwem.

— Jeżeli to Lavernères, to w takim razie i Neufmoulin, ten spryciarz, który mię ani na krok w mej wyprawie na południe nie odstąpił. Tego musimy się stanowczo i radykalnie pozbyć, jest bowiem niesłychanie niebezpieczny.

— Jak sobie z nim poradzisz?

— Nic łatwiejszego. Po rozstaniu się z tobą, pójdę na pustkowia w stronę Vaugirard. Jeżeli mię ten człowiek opuści, wrócę do mej kryjówki i będę czekał lepszej sposobności. Jeżeli zaś pójdzie za mną, zwrócę się ku niemu i rozprawimy się. Mam pistolety przy sobie.

— Zabijesz go?

— W uczciwej walce. Mordować nie umiem. Jeżeli ma broń przy sobie, co być powinno, mamy równe szanse. Gdyby broni nie miał, dam mu jeden z mych pistoletów, niech się broni...

— Dziwne skrupuły, zauważył Limoëlan. — Przyjdzie ci może niedalej, jak jutro, zgładzić kilkunastu żandarmów, lub straży przybocznej Bonapartego, twą beczułką prochu, a wahasz się gdy idzie o skończenie ze szpiegiem, któryby cię z największą ochotą wydał na śmierć.

— Dziwne to, a może nawet głupie — odezwał się Saint Régeant. — Natury mej nie zmienię. Wiem, że przy zamachu prochowym narażam własne życie... jak na wojnie... Lecz... godzić z zimną krwią na człowieka, który o tem nie wie... Nie mógłbym tego...

— Nie zabiłbyś Cezara, będąc na miejscu Brutusa.

— Zrobiłbym to pod Farsalami, w ogniu walki.

— Zbyteczna rycerskość. Niepokoisz mię, mój drogi, nie wiem, czy z tobą zamiar doprowadzę do skutku. Od ciebie można się spodziewać, że, gdybyś w ostatecznej chwili ujrzał na ulicy ładną kobietę, lub siwowłosego starca, cofnąłbyś rękę z lontem, oszczędził konsula, by nie odbierać życia kobiecie lub starcowi.

— Nie chcę słyszeć o wszystkich skutkach mego czynu. Wiedzieć chcę jedynie jego dziką wielkość. — Chcę jedynie pamiętać, że Bonaparte zginąć musi! I na to życie me przeznaczam!

— Kiedyż zatem nadejdzie chwila ostateczna?

— Wystarałeś się już o wózek?

— Za godzinę będę nim rozporządzał.

— Beczka z prochem i strzelba są pod Rudym Lwem.

— Czekamy tedy jedynie odpowiedniej chwili.

— Sama się nastręcza. — Urzędowy dziennik głosi wszystkim, że pojutrze odbędzie się w operze uroczyste przedstawienie oratoryum Haydna „Stworzenie Świata". Zapowiedziano już przybycie konsula, pani Bonaparte i ich dworu.

— A zatem?

— A zatem, droga, którą Bonaparte uda się do opery jest powszechnie znana. Przejedzie ulice Saint-Nicaise i de La Loi; nie obejdzie się bez zbiegowiska...

— A policya z pewnością nie pozwoli zatrzymywać się na ulicy.

— Z pewnością tak będzie. Co wyznaczysz mnie i Carbonowi.

— Wy dostawicie mi wózek do zajazdu. Władujemy nań beczkę i pojedziemy na Saint Nicaise. Tymczasem noc zajdzie i ułatwi działanie.

— Przedtem musisz się pozbyć twego anioła stróża.

— Na to mam noc dzisiejszą. To chyba wszystko, co mieliśmy do omówienia.

— Zdaje się.

— Wózek ma być pojutrze o piątej w oberży. Gdyby mię przypadkiem nie było, zażądaj od gospodarza wydania beczki i strzelby i zastąp mnie.

— Jeżeli cię nie będzie?

— To znaczy, że nie żyję, lub siedzę za kratą.

— Zgoda.

Saint Régeant skierował się ku wyjściu. Do był z kieszeni pistolety i obejrzał uważnie kurki. Uścisnął dłoń przyjaciela, wyszedł na ulicę i zaraz natknął się na Braconneau. Ten był niemało zdziwiony, skoro cel jego śledztwa, mimo przeczących pozorów uważany za Saint Régeant'a, nie poszedł w stronę Paryża, lecz we wręcz przeciwną, na pola Vaugirard. Odwagi nie zbywało Braconneau i bez chwili wahania poszedł za swym celem. Musiał go jednak dość daleko naprzód puścić, ponieważ na pustych obszarach trudniej było się maskować, niż na ulicach miasta. W rzeczywistości środki zmierzające do ukrycia się, były zbyteczne. Po kilku minutach pogoni było widoczne z ruchów ściganego, że wiedział o śledzącym i nie przykładał do tego żadnej wagi. Szedł środkiem drogi i nie ustawał. Potem, w miejscu zupełnie otwartem, zdala od wszelkich oparkanień, zrucił się nagle na boczną drogę, wiodącą ku Montrouge, zatrzymał się, siadł i czekał. Policyant nie chciał okazać mniej odwagi. Szedł wciąż tymsamym krokiem. Wiedząc, że nie pomylił się co do osoby, zdjął kapelusz i powitał:

— Dobry wieczór, panie de Saint Régeant.

— Do usług, panie Neufmoulin. — odparł rojalista.

— Jesteśmy zatem w porządku. Lubię jasne sytuacye.

— Ja również, lecz jeden z nas tylko jest w porządku. O panu powiedzieć tego nie można. Jest pan Neufmoulinem z podróży do Londynu, lecz także Lavernères ze spotkań z księdzem Valoris, i bezwątpienia jeszcze szeregiem innych osobistości, wcielonych w jednego policyanta, którego prawdziwa postać i nazwisko są nam nieznane. Nie wiem, czy dowiem się kiedy prawdziwego nazwiska, lecz postaram się odkryć istotny wygląd, poza pokładami szminki, perukami, sztucznemi nosami, podściółkami kauczukowemi na policzkach...

— A to w jaki sposób?

— W ten, że pana zabiję, panie Neufmoulin.

Policyant odsunął się odruchowo. Saint Régeant podniósł się zwolna, stanął pośrodku drogi i dobył pistoletów:

— Jedliśmy i pili razem, panie Neufmoulin, i choć nic za panem nie przemawia, wobec jego nieciekawego rzemiosła, nie byłbym zdolny rzucić się na bezbronnego. Stań pan w odległości, jaką uznasz za stosowną, potem na dany znak, idź ku mnie i zmierz się. Nie oszczędzaj mnie. Byłoby to bezcelowe, bo ja dobrze mierzę i będę się starał zabić pana.

— Panie de Saint Régeant, stawiasz mię w bardzo przykrem położeniu. Nie mam bynajmniej zamiaru zabicia, a nawet zranienia pana. Nie to do mnie należy, chodziło mi jedynie o upewnienie się co do pańskiej osoby.

— Dlatego to nie wróciłem do Paryża, gdzie na każdym kroku miałby pan swych ludzi do pomocy. Ale jak mię pan tu może aresztować?

— Zrobię z pewnością wszystko, co tylko jest w mej mocy. Nie wróci pan dziś na noc do obywatelki Grandeau... Muszę wiedzieć, co pan knuje wespół z ojcźwiernym klasztoru... To angielska polityka, poznałem odrazu. Będzie się pan tłomaczył przed obywatelem Fouché...

— Zadużo pan wie o tem — odpowiedział Saint-Régeant z chłodną stanowczością. — Prowokujesz mię i to tem gorzej. Bierz jeden z tych pistoletów i broń się, albo, dalibóg, ubiję cię jak psa wściekłego.

— Proszę mię wysłuchać spokojnie, bez gniewu. — Dałem już dowody, że panu źle nie życzę. Mogłem zrobić pewną przykrość obywatelce Lerebourg, ponieważ chałem tego. Przykro mi widzieć tak sympatycznego młodzieńca wmieszanego w sprawę Jerzego i całej tej kliki, na tak złej drodze. Rzuć ich pan, a słowo daję ułatwię panu ucieczkę...

— A za memi plecyma uwięzisz mych towarzyszy: ja zaś, zdradziłbym sprawę, której się należy zwycięstwo. Dość tego! Ani słowa więcej! Ubliżasz mi! Sam wpadłeś, Neufmoulin, w strasznę położenie, jedynie moja śmierć może cię zeń wydobyć...

— Skoro mię wyzywasz. Lecz czynię to wbrew woli. — Dobył własny pistolet i nabił go. Odmierzył między sobą a Saint Régeant'em 30 kroków.

Noc była ciemna i mżyło zlekka. Ledwo się widzieli, stojąc twarzą w twarz.

— Baczność, Neufmoulin! — zawołał Saint Régeant.

Z pistoletem w ręku podchodził do nieruchomo stojącego policyanta, aż się zatrzymał o dziesięć kroków od tamtego. Neufmoulin liczył wciąż na to, że gdy przeciwnik wystrzeli, będzie czas rozbroić go i dostać w ręce. Lecz podobna taktyka nie uśmiechała się Saint Régeant'owi. Stanął, wycelował w Neufmoulin'a. Wówczas policyant zdecydował się skwapliwie dać ognia. Kula przebiła kołnierz u surduta Saint Régeant'a, który strzelił natychmiast po agencie. Neufmoulin padł ugodzony w samą pierś, twarzą ku ziemi.

— Ha! Sam tego chciał — odrzekł Saint Régeant.

Podszedł do policyanta, który szamotał się w kałuży krwi, zerwał mu perukę i przekonał się, że maska, w której grał rolę Neufmoulin'a, była bez mała właściwą jego twarzą. Nie chciał narażać go na przejechanie przez podmiejskie wozy, zwożące o świcie jarzyny do miasta, ściągnął go na pochyłą krawędź gościńca. Pistolet zostawił przy poległym, którego uważał za martwego. Wyrzekł nad nim „Requiescat in pace" i szybko zawrócił ku miastu.

XI.

Fouché zajął się pilnie odczytywaniem rannych raportów, gdy w tem młody jego sekretarz, Villiers, wszedł bez pukania i doniósł tajemniczo.

— Agent Nr. 7. chce mówić z obywatelem ministrem w sprawie niesłychanie ważnej.

Fouché nie oderwał sie od papierów i rzekł jakby obojętnie:

— Niech wejdzie.

Ukazał się człowiej olbrzymiego wzrostu, o czarnej, owłosionej twarzy, typ agenta oprawcy. Wy-

bitny typ i okazała budowa nie pozwalały na charakteryzacyę i podstępne odgrywanie ról. Nadawał się zato do wyważania drzwi, poskramiania zbuntowanych, istny pies łańcuchowy, dziki, brutalny. Fouchè zmierzył okiem potężne jego mięśnie i zapytał:

— Co mi powiesz Soufflard?

Fouchè miał, jak Bonaparte, pamięć twarzy i nazwisk, dzięki czemu mógł znać wszystkich podwładnych.

— Obywatelu ministrze, napad na agenta Braconneau...

— Gdzie?

— Pod Vaugirard.

— Jakim sposobem?

— Kulą w piersi trafiony.

— Przez kogo?

— Niewiadomo. Był sam, na nadzwyczajnej wyprawie, zostawił notatkę: strzedz domu l. 35 przy ul. du Dragon i tych, co stamtąd wyjdą.

— Zmarł?

— Jeszcze nie. Lecz niewiele mu się należy. Nie odzyskał przytomności.

— Gdzie teraz?

— W szpitalu.

— Jest kto przy nim?

— Clément.

— Dobrze. Niech go nie odstępuje i da mi znać, gdyby mógł się porozumieć, choćby znakami. Zaraz tam będę... Kto go dostawił?

— Robotnicy z Montrouge, idący do kamieniołomów. Zawezwano mię i poszedłem natychmiast z Clément.

— Zaniechałeś przeto posterunku?

— To prawda, obywatelu ministrze.

— Trzeba było iść do szpitala samemu, a na ulicy du Dragon zostawić Clément'a... Czy Braconneau wytłómaczył ci, o co idzie?

— Tak, obywatelu ministrze... Podejrzewał wspólnika Jerzego, pana de Saint-Régeant, że kryje się u pewnej modystki.

— Czy tylko podejrzewał?

— Pewność i podejrzenie to dla Braconneau jedno.

— Tak. Gdyby zmarł, stracę użytecznego agenta.

— Być może, iż zabił go Saint-Régeant. Braconneau rozstał się z nami wczorajszego wieczoru, prawdopodobnie, by iść za tym przeklętym rojalistą.

— Czy nie masz mi nic szczególnego do powiedzenia?

— Nie, obywatelu ministrze.

— A zatem, aż do odwołania — nie wracaj na ulicę du Dragon.

— Dobrze, obywatelu ministrze.

— Możesz odejść!

Z rozmowy z Soufflardém zrozumiał Fouché, iż Braconneau nie zostawił swym podwładnym żadnych wskazówek w sprawie, żywo go obchodzącej, widocznie inteligencyi tych ludzi nazbyt nie ufał. Musiał to być spisek rojalistyczny. Lecz jak się kierować w ciemnościach, skoro brakło tego, w czyim ręku skupiały się nici intrygi. Rozumował on następująco: Ponieważ ten idyota Dubois wierzy święcie, że burzą się Jakobini, trzeba czekać, co zrobi jego policya, by zastąpić zwłokę, jakiej sprawa u mnie uległa. Jeżeli przy ulicy du Dragon kryje się Saint-Régeant, to pozbywszy się Braconneau, nie będzie nadal ostrożny i sam się zdradzi. Łatwiej go obecnie dostanę i to kiedy zechcę.

Tak tedy, wskutek współzawodnictwa dwu policyi, dzięki uprzedzeniom Bonapartego na niekorzyść Jakóbinów, miała zajść zwłoka w śledzeniu Saint Régeanta i to właśnie w chwili, kiedy zdwojona ostrożność była wskazana. Tylekroć oskarżony o zdradę Bonapartego, o zmowę z jego wrogami, Fouché nie opuścił go nigdy w groźniejszem niebezpieczeństwie, jak w tem, które groziło w dniach następnych. O ile obecność Braconneau niesłychanie utrudniała przedsięwzięcie Saint Régeant'a i Limoëlan'a, o tyle obecnie stało się ono bardzo łatwe, zwłaszcza przy współudziale Limoëlan'a.

Około północy wrócił Saint Régeant do Paryża i z wszelkiemi ostrożnościami zbliżał się do ulicy du Dragon. U rogu przyczaił się i rozejrzał w sytuacyi. Wyraźnie widział herkulesową postać Soufflard'a przed winiarnią. Zastanowił się, czy ma wrócić i w domu czekać na rezultaty zniknięcia Neufmoulin'a. Czy nie lepiej byłoby, gdyby odłożył powrót do chwili, kiedy rozstawione czaty strapią się na wieść o śmierci szpiega? Gdzież noc spędzi? A toż pod Rudym Lwem, gdzie go nikt nie oczekuje. Udał się na drugi brzeg Sekwany, na ulicę l'Arbre Sec, przypomniał się gospodarzowi i został wprowadzony do salki zebrań rojalistycznych. Tam usnął snem sprawiedliwego na pierwszym z brzegu fotelu.

Jak wiemy już z opowiadania Soufflard'a, znaleziono Braconneau po upływie trzech godzin. Robotnicy, którzy tą drogą szli do roboty, przerazili się bardzo na widok ciała krwią broczącego, pobiegli na rogatkę, do pierwszego posterunku, przynieśli nosze, by na nich złożyć zmarłego. Przedtem zdążyli przejrzeć jego papiery, z których jasno wynikało, iż ze szpiegiem mają do czynienia. Wysłano natychmiast gońca do ministeryum, gdzie się dziwnym trafem nawinął Clément, jeden z podwładnych Braconneau, wracający właśnie ze stanowiska. Pobiegł z tą wiadomością do Soufflarda. W przystępie gorliwości pognali obaj wprost do Vaugirard, gdzie zastali nieprzytomnego, lecz żywego jeszcze zwierzchnika. Takto przypadek sprzyjał raz jednej, raz drugiej stronie.



Przerazili się bardzo na widok ciała krwią broczącego.

Gdyby Saint Régeant nie był poniechał na skraju drogi Braconneau, jako zmarłego, a z zimną krwią wypalił mu w ucho, usunąłby wszelkie sobie i wspólnikom grożące niebezpieczeństwo. Lecz Saint Régeant był żołnierzem. Rannego nie dobijał. Wstręt czuł do tego, co się w tym wypadku nazywało aktem litości. Zbłądził popierwsze w tem. Nie zabrał jego papierów, celem zyskania na czasie, gdyż rozpoznanie zwłok byłoby utrudnione. W tem tkwił błąd drugi. Opuszczenie domu modystki przez Soufflarda i Clément'a opłacało po części te pomyłki, a rozkaz Fouchégo, by spuścić na czas jakiś z oka Saint Régeant'a i dać mu złudzenie, że nie jest śledzony, było ważnym atutem dla rojalistów.

Rankiem powrócił Saint-Régeant na ulicę du Dragon i znalazł ulicę wolną, bez przeszkód. Szpiega nie było śladu dokoła. Uczuł się panem położenia i był nim istotnie. Wirginia Grandeau była jego nieobecnością bardzo zaniepokojona. Uspokoił ją, ani słowkiem nie wspomniał o tem, co zaszło w nocy i po otrzymaniu śniadaniu rzucił się zmęczony na łóżko. Wieczorem udał się do klasztoru i zawiadomił Limoëlan'a o pomyślnym wyniku spotkania z Braconneau. Nalegał na to, że dzień jutrzejszy musi przynieść wykonanie zamiaru i kazał przyjacielowi czekać na siebie o piątej, nad rzeką obok Instytutu.

Carbon miał dopomódz Limoëlanowi w prowadzeniu wózka, a stamtąd mieli udać się samotrzeć pod Rudego Lwa, po ładunek, czekający w piwnicy.

— Jest tam beczka, zawartość której nie podejrzewa nikt z domowników — rzekł Saint-Régeant — a z pewnością odebrałaby im chętkę do picia, gdyby się z nią znienacka zapoznali.

— Miejmy nadzieję, że Bonapartemu i jego orszakowi odbierze ochotę do picia — odparł Limoëlan.

— Uwiadomiłem Jerzego, że dzieło dokona się dzisiaj. Wieść dojdzie go w tej właśnie chwili, kiedy będziemy przy pracy. Będzie mógł zatem pomyśleć o sposobach dalszego działania, co mu ułatwi ogólne rozprężenie Francyi, wynikłe z porażki Bonapartego. Da się znać naszym przyjaciołom w Lyonie, Walencyi, Marsyli, Bordeaux, by mogli jednocześnie proklamować króla i objąć wszystkie instytucye publiczne. Wybuch naszej machiny piekielnej ma być sygnałem kontrrewolucyi.

Jednego tylko pragnę: by koło Bonapartego było możliwie najmniej niewinnych ofiar. Wiem, że padnie jego eskorta i jego adjutanci z nim polegną. To los wojny, dla żołnierzy nieunikniony. Ale nieszkodliwi przechodnie, ciekawi gapie, którzy natłoczą się na drodze konsula, by ujrzeć w powozie zwycięzcę z pod Piramid, albo by powitać Józefinę i zyskać jej uśmiech. Te refleksye nie dają mi spokoju i myśli wciąż mącą.

— Mój drogi — przedkładał mu Saint Régeant — mógłbym, dla uspokojenia cię, wymienić ci znakomitych autorów dla poparcia odwiecznego prawa ogólnego dobra, dla którego należy poświęcić dobro jednostki. Poprzestanę na daniu ci następnej odpowiedzi. Terror przelał strumienie krwi dla obalenia tronu i ołtarza, nie wahajmy się przelania kilku kropli, by je przywrócić. Cel, do którego dążymy, rozgrzeszy nas z zastosowanych środków. Zresztą, znasz przysłowie: gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą.

— Może i z nas będą trzaski.

— To bardzo możliwe. Nie dałbym wiele za siebie, gdy wybuchnie beczka prochu, przez nas przygotowana.

Rozstali się. Saint-Régeant, nie krępowany w ruchach, wrócił długą drogą na ulicę du Dragon i położył się pełen marzeń o dniu następnym, który miał mu przynieść odwiedziny uroczej Emilii.

Aczkolwiek Limoëlan i Saint Régeant postępowali jak najostrożniej, choć bezwzględnie przestrzegano tajemnicy, tak iż prócz nich dwóch nikt nie wiedział o ich zamiarze, nawet trzeci wspólnik, Carbon, nie był wtajemniczony, już rozeszły się w otoczeniu konsula niepokojące pogłoski. Wynalazca zastosowanej obecnie przez Saint Régeant maszyny, Chewalier był uwięziony i skazany, tu i owdzie mówiono o wybuchu, przygotowanym na dzień 3 Nivôse (grudzień), a którego widownią miała być sala opery. Były i głosy o zamiarze wysadzenia opery w powietrze. Zaniepokoiło to do tego stopnia Józefinę, iż prosiła Bonapartego, by nie wychodził wcale w tym dniu. Istotnie Bonaparte był przemęczony nadmiarem pracy. Uległ namowom żony i przyznał, że Oratorvum obejdzie się doskonale bez niego. Co prawda, Haydnowska muzyka nudziła go niepomiernie. Wogóle dzieła, które rozwojem procesu psychologicznego o podkładzie tragicznym nie zajęły jego wyobraźni, były mu zgoła obojętne. Stanęło więc na tem, że omawianego dnia nie uda się do teatru, lecz spędzi wieczór w Tuileryach. Zawezwał generałów Lannes i Bessière, by omówić z ostatnim remont kawaleryi, a z pierszym zmianę składu wojska. Wezwano i Fouche'go, lecz ten doznał bardzo złego ze strony konsula przyjęcia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jubileusz Szkoły głównej: Profesorowie i wychowańcy b. Szkoły głównej w Warszawie, biorący udział w uroczystości jubileuszowej. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).





Trylogia dramatyczna Lucyana Rydla: Część III-cia trylogii p. t. „Ostatni“ na scenie krakowskiej.



Jubileusz Szkoły głównej: Komitet organizacyjny zjazdu koleżeńskiego wychowanków b. Szkoły głównej. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Niepewność sytuacyi, a jeszcze bardziej beznadziejna golizna, zmusiły mnie do pozostania w Krakowie. Unosił mnie wprawdzie animusz wojenny, a tyle energii nagromadziło się w mem wnętrzu, iż lada chwila należało się spodziewać wybuchu, niestety, teraz ja, tak samo jak niedawno temu bałkańscy królikowie, przekonałem się na własnej skórze, że do przeprowadzenia każdego przedsięwzięcia nie potrzeba nic więcej, tylko pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

A skąd ich wziąć, zwłaszcza w tych ciężkich czasach?

Siedzę więc najspokojniej nad Rudawą, ale nad Bosforem mam swego specyalnego delegata, który codziennie nadsyła mi swe spostrzeżenia na własnym drucie.

Ponieważ różnią się one w niektórych punktach od relacyi naszych dzienników, dlatego postanowiłem podzielić się niemi i z Szanownymi Czytelnikami, którzy, o ile wiem, spragnieni są bardzo wiadomości autentycznych z pola walki.

Otóż, w pierwszym rzędzie król Ferdynand nie okazuje znów tak gwałtownej ochoty do wjazdu tryumfalnego do Konstantynopola, zadowoli się natomiast tak, jak kolega Piotr, uroczystym powrotem do swej stolicy, Sofii, pod warunkiem jednak, że Turcy nie będą mu zbyt na pięty następować i nalegać o pospiech i jeśli otrzyma odszkodowanie wojenne.

Oznaczono je na miliard, w jakiejkolwiek bądź walucie, w każdym razie w monecie brzęczącej i mającej wartość obiegową.

W odszkodowaniu tem policzone są już koszta odnowienia i pozłocenia korony carów bizantyńskich, przerobienie rotundy królowej na płaszcz koronacyjny dla jej dostojnego małżonka, taksa w c. k. namiestnictwie za zmianę nazwiska na Symeon II., t. zw. „schmerzgeld“ i różne inne wydatki już poniesione i jeszcze ponieść się mające.

Turcy godzą się na razie na dziesięć milionów, które jednak pragnęliby wypłacić w ten sposób, że wręczą przedstawicielowi rządu bułgarskiego dziesięć losów tureckich, a na każdy z nich można wygrać cały milion.

Wychodząc zaś z zasady, że, jak powiada Niemiec, *der Dumme hat Glück*, co na polskie tłumaczy się „dumny człowiek ma szczęście“, Ferdzio Koburg może być pewnym, że z pewnością wygra, bo on przecież jest dumny z powodzenia oręża bułgarskiego.

Jeśli kto, to cholera doprowadzi stanowczo do porozumienia między walczącemi stronami, kosi bowiem na prawo i lewo, nie oglądając się wcale, czy to Turek, Serb, czy Bułgar i jeśli tak dalej pójdzie, jak dotąd, niedługo nie będzie komu wodzić się za łby.

A jest to bardzo potężna pani, która nie robi sobie nic nawet z wojsk mocarstw europejskich, które wylądowały w Konstantynopolu, by bronić obcych poddanych przed zbyt gorącymi objawami sympatyi muzułmanów.

Kością niezgody pomiędzy zwycięzkimi sojusznikami bałkańskimi stać się gotowa natomiast sprawa spadku po sułtanie. Każdy z nich rościł sobie pretensye do jakiejś części garderoby proroka, pokazuje się jednak, że po nim został jedynie płaszcz i to dziurawy, innych zaś części garderoby, jako turecki święty, z zasady nie używał.

Do tego zaś płaszcza rości sobie pretensyę tak Ferdynand, najbliżej dziś znajdujący się Konstantynopola, jak Piotr, Nykita i Jerzy, każdy z nich radby z niego posiąść bodaj jedną dziurę, uważając to za talizman, zapewniający właścicielowi powodzenie w życiu.

Tymczasem międzynarodowa komisya znawców, w skład której wchodził z Krakowa Aron Gajer, c. k. konserwator zabytków starożytności, oświadczyła się stanowczo przeciw parcelacyi tak drogocennego zabytku, postanowiła natomiast w drodze publicznej licytacyi sprzedać go najwięcej ofiarującemu, a za uzyskane w ten sposób fundusze wybudować most, po którymby Turcy mogli wygodnie przejść z Europy do Azyi.

Drugi z mych zastępców bałkańskich bawi obecnie w Serbii, gdzie z godną podziwu wytrwałością, wędruje od wsi do wsi, od miasta do miasta i zapytuje każdego spotkanego:

— Przepraszam, czy nie widział pan przypadkiem pana Prochaski?

Jak dotąd nie otrzymał jeszcze odpowiedzi pozytywnej, ten i ów słyszał bowiem coś niecoś, ale nikt nie jest tego pewnym.

Jutro wysyłam trzeciego nadzwyczajnego posłańca, by szukał Prochaski i Edla, który także gdzieś się zapodział.

I kto wie, czy ów pan Prochaska nie stanie się historyczną osobą, bo jak ongiś piękna Helena była powodem starcia orężnego między Trojanami i Grecyą, dziś on gotów odegrać tę samą rolę między Austryą i Serbią.

Nic też dziwnego, że cały tuzin miast austryackich ubiega się o honor, że tam, a nie gdzieindziej, urodził się pan Prochaska. Nawet o nieboszczyka Homera nie kłóciło się tylu!

Zwrócono się do mnie onegdaj z miarodajnej strony, bym zechciał po ojcowsku wpłynąć na obywateli galicyjskich, aby nie wycofywali z instytucyi finansowych swych oszczędności, gdyż absolutnie nie grozi im tam żadne niebezpieczeństwo.

Czynię to tem chętniej, iż wogóle jestem zdeklarowanym wrogiem wszelkich runów i niedawno dopiero na swej własnej osobie miałem sposobność doświadczyć ich skutków.

Ponieważ zapowiadają nam wojnę i każą na wszelki wypadek prowiantować szpiżarnię, wybrałem się do Kasy Oszczędności, lecz nie na pierwsze piętro, ale na parter, kędy się mieszczą biura zakładu zastawniczego... Chciałem tu ulokować swe futro i zamienić je chwilowo na gotówkę, towarzyszów niedoli spotkałem jednak tylu, iż nie docisnąłem się nawet do okienka, wyściskano mnie i wyszturkano tak dokumentnie, że przez trzy dni musiałem leżeć w łóżku i robić zimne okłady!

A taki sam run panował i na pierwszem piętrze, gdzie odbierano wkładki...

Jednem słowem dziś pozazdrościć tylko temu, kto albo nic nie ma i nie potrzebuje bać się o los swych pieniędzy, albo też posiada tyle, iż nie znajdzie się nigdy w tem miłem położeniu, by musiał lokować swe oszczędności... w zakładzie zastawniczym.

I tak więc źle i tak nie dobrze.

Przedwojenne napięcie elektryczności, której czuć już nadmiar, stało się powodem tej paniki, widoczną ona jest nie tylko u nas, ale wogóle w całym świecie, kursy giełdowe fiksują jak nigdy. Notowania giełdowe różnych papierów wartościowych zmieniają się w miarę nadchodzących mniej lub więcej alarmujących wieści, jedne jedyne papiery *Rigollot* i *Austrya* trzymają się doskonale, o ile przylepione są na bolącem miejscu.

Ponieważ z wielkiej chmury bywa zazwyczaj mały deszcz, a obecnie zachmurzenie horyzontu politycznego jest takie, jak nigdy dotąd, spodziewaczby się należało, że wszystko skończy się na wzajemnem kiwaniu sobie palcem w bucie i wojny żadnej nie będzie, źle więc robią ci, którzy są zanadto strachem podszyci i niepotrzebnie szerzą jeszcze dalej panikę, a przytem samochcąc utrapiają swe ciała, narażając je na szwank w ścisku i zamieszaniu.

C. k. namiestnictwo wzywa przez usta swego urzędowego organu t. j. *Gazetę Lwowską* lojalnych obywateli, aby dali spokój runom, które do niczego nie prowadzą, jeśli zaś wycofali już swe wkładki, by je lokowali napowrót w c. k. kasach pocztowych, gdzie będą zupełnie bezpieczne. Ja powtarzam to samo, z tą jednak różnicą, iż osobiście podejmuję się pośrednictwa w tym interesie, gdyż jestem chwilowo w kłopotach finansowych, na jakie stale cierpię przez każdych trzydzieści ostatnich dni w miesiącu. Lokata u mnie jest zupełnie pewna, jako zdeklarowany domator z pewnością z powierzonymi mi kapitałami nie ucieknę.

W każdym razie radziłbym Czytelnikom, naturalnie i pięknym Czytelniczkom także, aby ze względu na wszelką ewentualność porobili pewne zapasy. Ja zamówiłem sobie już flaszkę ekstraktu Maggiego i całą skrzynkę kwargli i sądzę, że mi to na dłuższy czas wystarczy. Także ze względu na osobiste bezpieczeństwo radziłbym przebywać jak najwięcej w lokalach sklepicnych n. p. w handlu pod Obrazem, gdzie osobiście wypróbowałem wytrzymałości sklepień i za nie ręczę, a także aż oblizuję się na samo wspomnienie tamtejszego pilznera, polecanego przez powagi lekarskie w różnych dolegliwościach ciała i ducha.

To wiązanka faktów, myśli i rad, stojących w jak najściślejszym związku z obecną sytuacyą polityczną. Za prawdziwość ich przyjmuję trzyletnią pisemną gwarancyę, dodam jednak, że jeśliby się może nie sprawdziły, nie moja w tem wina, bo ja mam chęci jak najlepsze.

Co do jednego, pomyliłem się przecież.

Chodzi mi o konsula, pana Prochaskę, na którego poszukiwania, jak zresztą wyżej o tem już wspomniałem wybrał się z Wiednia pan Edl.

Przypuszczaliśmy najgorsze rzeczy, a choć złośliwi twierdzili uporczywie, że w samym Prizrencie i najbliższej okolicy mieszka stu ośmdziesięciu sześciu Prochasków, tego właściwego w żaden przecież sposób nie było można odnaleźć.

Tymczasem dziś, gdy kronika prawie już gotowa, gdyśmy opłakali już biednego cesarsko i królewskiego męczennika za sprawę bałkańską, nadchodzi telegram, że Prochaska się znalazł i już odbył konferencyę w Skoplje z Edlem.

Wobec tego sytuacya zaczęła się wyjaśniać, w ślad za czem puszczono do domu czterech rezerwistów, a minister Zaleski wygłosił w Izbie posłów patryotyczną mowę w obronie loteryi klasowej, bez której się Austrya absolutnie obejść nie może, choć trudno jej się rozstać z liczbową, z którą tak już zrosło nasze społeczeństwo.

Przed kilku dniami bawiła w tym celu we Wiedniu deputacya krakowskich przyjaciółek amba i terna i oświadczyła ministrowi skarbu, że, jeśliby poważył się podnieść rękę na tak kulturalną instytucyę, z ich znów ręki czeka go los, stokroć gorszy od losu angielskich ministrów, prześladowanych na każdym kroku przez tamtejszy płeć piękną.

A myślę, że nasze loteryjniczki z Małego Rynku i S czepańskiego placu są od zimnokrwistych Angielek bardziej wojownicze, radziłbym więc ex(c)ellencyi zastanowić się nad ich żądaniami.

Losy naszego parlamentu wiedeńskiego chwieją się jednak, lada chwila można się spodziewać rozwiązania, a bodaj odroczenia sesyi. Wówczas zaczątby obowiązywać paragraf czternasty.

Dramat miłosny przed sądem wileńskim.

W tych dniach rozegrał się przed sądem okręgowym w Wilnie epilog głośnej sprawy właścicielki majątku Jurszyszki w gub. wileńskiej, 23 letniej panny Heleny Narbuttówny, oskarżonej o usiłowa-



Dramat miłosny przed sądem wileńskim:
Helena Narbuttówna.

nie zabójstwa hr. Waldemara Tyszkiewicza. Dramat ten rozegrał się w Wilnie w okolicznościach następujących.

Hr. Tyszkiewicz, przedstawiciel w Petersburgu win szampańskich firmy „Mum", ożeniony z panną Kerbedziówną, poznawszy na balu w Wilnie w kwietniu 1909 r. młodziutką pannę Narbuttównę, zapałał ku niej tak wielką miłością, że postanowił poślubić ją nawet za cenę rozwodu ze swoją żoną. Przystojny i układny hrabia wywarł również silne wrażenie na młodej pannie, która na błagania hrabiego zdecydowała się na przyjazd do Petersburga. Sielanka trwała przeszło rok, nie mogła trwać wiecznie... Między zakochanymi zaczęły się niesnaski, aż wreszcie hrabia odsunął się od pięknej panny, która wyjechała do swych krewnych w Wileńskie.

W końcu lutego b. r. panna Narbuttówna i hr. Tyszkiewicz spotkali się przypadkiem w Wilnie i stanęli w jednym hotelu „Georg'a".

Uczucie zawiedzionych nadziei, żalu i zemsty ogarnęło młodą kobietę, która dowiedziawszy się od szwajcara hotelu, że hrabia za kilka chwil ma w towarzystwie żony opuścić Wilno i wyjechać na Rivierę, chwyciła podarowany jej niegdyś przez hrabiego rewolwer, wpadła do numeru zajmowanego przez małżonków i dała do hrabiego dwa strzały, trafiając go w piersi. Rana nie była na szczęście zbyt ciężką i hr. Tyszkiewicz po niejakimś czasie przyszedł do zdrowia.

Obronę panny Narbuttówny przed sądem objął warszawski mecenas Leon Papieski, jeden z najdzielniejszych polskich obrońców karnych, znakomity mówca, zaszczytnie znany z wielu procesów karnych i politycznych. Rozprawa skończyła się też zupełnem uniewinnieniem oskarżonej.

Jubileusz Szkoły głównej.

Za inicyatywą Towarzystwa naukowego warszawskiego obchodzono przed kilku dniami uroczyście jubileusz 50 letni założenia Szkoły głównej w Warszawie. Powstała ona w r. 1862, w chwili kiedy w Królestwie nie było żadnej szkoły wyższej. Podwoje swoje otworzyła dla młodzieży polskiej właśnie w chwili, kiedy na Zachodzie Europy dokonywały się wielkie przemiany w dziedzinie myśli. Nowe drogi, nowe tory, którymi poszła nauka nowoczesna, pogłębiły i rozszerzyły pogląd na świat i jego zagadnienia.

To też, gdy otwarto Szkołę główną, zgromadziła ona w swych murach szereg dzielnych i tęgich pracowników, którzy potem z biegiem lat stali się chlubą narodu.

Nie danem było Szkole tej zbyt długo pracować. Ale posiew jej był bogaty i dziś jeszcze co krok spotykamy ludzi, którzy wiedzę swą, zapał i zamiłowanie do pracy z niej wynieśli. Szkoła główna w chwili dla narodu polskiego przełomowej utrzymała naukę polską na wyżynie i sprawiła, że przetrwaliśmy jeden z najcięższych okresów naszej historyi.

Z profesorów Szkoły głównej nie wielu jeszcze żyje, ale ci, którzy pozostali, wszyscy znani są i cenieni w polskiem społeczeństwie. Żyją więc i pracują: Ignacy Baranowski, Benedykt Dybowski, Teodor Dydyński, Władysław Holewiński, Julian Kosiński, Antoni Kryszka, Walenty Miklaszewski, Władysław Okęcki, ks. Stefan Pawlicki, Zdzisław Skłodowski i Roman Wawnikiewicz.

Obchód jubileuszu odbył się wspaniale przy udziale wszystkich b. wychowanków szkoły i żyjących profesorów. Zebranie odbyło się w gmachu Tow. Naukowego. Zagaił je pięknem przemówie-



Dramat miłosny przed sądem wileńskim:
Obrońca Heleny Narbuttówny, adw. przys. Leon Papieski.

niem Józef hr. Potocki, poczem p. Bronisław Chlebowski wygłosił odczyt o „znaczeniu Szkoły głównej warszawskiej w rozwoju umysłowości i nauki polskiej".

Wieczorem w wielkiej sali Resursy kupieckiej odbył się bankiet wychowanków. Przemawiał szereg mowców, między innymi Aleksander Swiętochowski, prof. Miklaszewski, prof. Bodouin de Courtenay.

Illustracye nasze przedstawiają grupę uczestników jubileuszu oraz członków komitetu.

Kochane Dziateczki!

Przychodzę do was, jak co roku, z dobremi nowinami. Po drodze moich pielgrzymek i do miłego Krakowa wstąpiłem i tam na jednej ulicy, która się Wolską zowie znane ze sławy lalki zoczyłem. Co tam za piękności dla was przygotowane, to aż się serce raduje; krakowianki, krakusy; górale i góralki w odświętnych strojach. Lalki z długiemi włosami, które do woli czesać można, z blaszanemi głowami, które się nie prędko popsują a i takie, które już mama mówić umieją. Nie brak i małych dzieci z krzywemi nogami i gołą głową, jak wasz mały braciszek; także tak duże, że ją ledwo uniesie, a tak małe jak szpilka.

A jakie kapelusze, sukienki, parasolki, zegarki i co tylko serce zapragnie.

To wszystko sami wyrabiają, przez co dają ludziom zarobek, nie wysyłając go Niemcom.



Kochajcie więc waszych rodziców i bądźcie im posłuszne a każde z was w dniu mojego święta piękny podarek dostanie. *Św. Mikołaj.*

ooo

Rozwiązanie zagadek z Nr. 46.

Szarada: Wojna bałkańska.

Zadanie do przestawienia: Tylu zysku, co w pysku.

Łamigłówka: Zuchelny pogrom Turków na Bałkanie. Bułgarzy zwyciężają na każdym kroku. Austrya grozi.

Zagadka teatralna:

K
N o s
H a l k a
E p o p e j a
K o l p o r t e r
C e b r z y k
T a t r y
R e n
r

Zadanie do przestawienia: To aptekarz!

Przysłowiówka: Masz dyable kubrak.

Figielek: Korab, barok.

Łamigłówka literacka:

Zapolska
Abgar Sołtan
Gomulicki
Augustynowicz
Dygasiński
Kaczkowski
Ibsen.

Łamigłówka geograficzna: Drogi Stryju! Dzisiaj ob-chłodzi san sami las, i kry okala nasze pięć mil od nas domu przez to w nieładkę wójta, który zabronił nam wy hodć poza zagrodę gdyż jak Stryj wie, jest u nas Odra. Stawiałem mu jednak dzielny opór. Helena i Bohdan łączą ukłony.

Rebus: Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Zawadzki, Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

NADESŁANE.

Głosy publiczne.

Stefan Górka: **Sztuka zdobycia majątku.** Kraków 1913 stron 320 cena 3 K 50. Z całą gorącością wręczymy do ręki tę książkę, która w naszym zacofanym pod względem ekonomicz ym kraju, jest szczególnie potrzebną. Autor stoi na stanowisku, iż nędza nie jest wcale jakąś koniecznością, że dotyczy z zasady tylko ludzi biednych i poddających się jej bez oporu. Z tych też powodów książka jest jednem gorącem wezwaniem do walki z biedą i niedostatkiem. Dziata przykładem, radą i wskazówkami. Jako przykład służą barwno ciekawe opisy życia kilku wielkich milionerów, którzy z ostatniej nędzy w młodości umieli się mężnie przebić przez życie i dojść do bogactw obliczonych na dziesiątki i setki milionów.

Ze świata kobiecego.

Moda naszych milusińskich.

Nie tylko dorośli mają przepisy mody dla siebie, mają je także i dzieci, nawet bardzo małe, a siedzibą twórczą pomysłów dla mody dziecięcej jest Anglia. Francuzi nie zajmują się przeważnie sami swemi dziećmi, wiele rodzin wychowuje je zdala od ogniska domowego. Kiedy zaś matka Francuska swą córkę znowu w świat wprowadza, ubiera ją zwykle dosyć niesmacznie, gdyż z przesadą często rażącą.



Kostyum zimowy, żakiet przybrany stembnowanem obszyciem z tafty.

Przeciwnie Angielki same zawsze zajmują się dziećmi. Same wychowują je, bardzo często nie uciekając się wcale do pomocy służby. I tam też tworzy się moda dziecięca.

Właściwie powinno się przypuszczać, że sukienki dla dzieci zawsze są takie same. Zarówno kolory jak i krój nie mogą się wiele zmieniać. Tymczasem i w tej dziedzinie są sezony. Każdy z nich zaś ma i swoje kroje i swoje ulubione kolory. W poprzednim roku główną barwą sukien dziecinnych był czarny z białem, małe karo, który znajdował doskonałe zastosowanie przy sukienkach plisowanych lub z fałdami. Czerwony pasek z lakieru uzupełniał kostyum, tworząc małe wcięcie w pasie. Na ulicę ubierano dziewczątka w popielate żakieciki i w brązowe kapelusze.

Ten sezon przyniósł dla dziewczątek modę aksamitów. Jako najmodniejsze uchodzą czarne i popielato czarne sukienki aksamitne. U szyi przybiera je się szeroką kresą białą lub gładkim kołnierzykiem koronkowym. Także rękawki o kroju *kimono* mają obszycia koronkowe. Do tego na ulicę ubiera się panienki w kapelusiki filcowe z wielką głową o rondzie opadającem w formie kloszowej, przybrane z boku rozetą, albo też szeroką wstążką jedwabną.

Płaszczyki sukienne robi się w kolorze jasnobrązowym. Mają one krój szeroki, a przybrane są kołnierzem i manszecikami ze skunksów lub innego futerka. Troszkę starsze panienki mogą nosić także modne dla starszych *rusze* wiązane z boku długą aksamitką.

Do szkoły ubiera się panienki w łużie sukienki szkockie popielato zielone.

Na zabawę, bo któraż z naszych milusińskich nie uczęszcza na proszone herbatki do swych rówieśnic, stroją się one w tym sezonie tylko w białe sukienki. Różowe i niebieskie uznane zostały za



Suknia balowa, spódniczka, przepięta z boku związaną szarfą a la *panier*.

mało eleganckie. Sukienki te mają krój kimona i przybrane są haftkami lub wstawkami. Trzyletnie panienki mają sukienki przybrane białemi *fichu*, a długość „spodniczek“ nie sięga do kolan.

Buciki do tych strojów winny być z białej lub popielatej skóry, zapinane na guziczki.

Dodać jednak trzeba do uwag o modzie dziecięcej, że matki powinny baczną uwagę zwracać na to, aby zawsze ubierać dzieci w ten sposób, żeby w nich nie budzić uczucia próżności, a zarazem, aby z dziewcząt nie robić laleczek pięknie wystrojonych ku uciesze mamy, taty i cioci, a poza tem mających wypaczony charakter, tem samem zaś nie przygotowanych do trudnych warunków życia, z jakimi potem jako dorosłe już kobiety zapoznać się będą musiały. Obudzenie w dziecku zbyt wcześnie uczucia próżności przez zbytnie strojenie go, powoduje odrazu w pojęciach takiej małej główki wielki przewrót, który objawia się na zewnątrz pychą, lekceważeniem skromniej ubranych rówieśnic, a więc wadami, które ujmują wiele czystości pojęciom, w jakich dziecko winno być wychowane.

W.



Kostyum z czarnego aksamitu, żakiet przybrany skunksami.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

18

— Niechże pan mi wyjaśni, co to ma znaczyć?

— Jak już wspomniałem, pas, który pan zamówił dla przewiezienia papierów, nie daje żadnej gwarancyi. Odbiorą go panu natychmiast, gdy na pana napadną...

— Będę się bronił, nie pozwolę go sobie odebrać.

— Mimoto odbiorą go panu — odparł spokojnie Paulin Broquet — niech mi pan wierzy. Zresztą przekona się pan o tem sam, gdy włoży pan ten pas, wypełniony papierami bez znaczenia.

— Dobrze? A prawdziwe dokumenty?

— Umieści pan tu, w kieszeniach, znajdujących się wewnątrz pończoch.

Paulin Broquet pokazał je Simonet'owi.

— Widzi pan, to bardzo wygodne. Kieszenie są gumowe, zamykają się hermetycznie. Może pan w tych pończochach wpaść w wodę, a papiery pozostaną nieuszkodzone.

— Rzeczywiście, bardzo dowcipny pomysł.

— Co więcej, nikt nie przypuści, że pan tam schował dokumenty. Dalej, nie może pan ich w żaden sposób zgubić, gdyż przez całą drogę nie zdejmie pan tych pończoch. Będzie więc pan miał dokumenty w miejscu bezpiecznem, o którem tylko my dwaj będziemy wiedzieli.

— Cudownie!

— Włoży pan je zaraz, są bardzo lekkie i wygodne, nie poczuje pan ich prawie. Niech pan uważa, żeby jutro przy ubieraniu się pański służący nie zobaczył tych pończoch. Nie wspomni pan o nich nikomu ani słówkiem. Jutro w gabinecie ministra, w jego obecności, umieści pan w kieszeniach dokumenty. Niech pan jednak nie zapomni włożyć do pasa fałszywych dokumentów, tak żeby to widzieli urzędnicy ministeryum.

— Zrobię to wszystko.

— Jednem słowem chodzi o to, żeby zabrano panu pas i nie szukano dokumentów gdzieindziej.

— Rozumiem.

— A teraz życzę panu przyjemnych snów.

ROZDZIAŁ L.

Napad w pociągu.

Simonet spotkał się ze swymi przyjaciółmi na dworcu Saint Lazare. La Rochardie i Montgomery ubrani byli jak podróżni i mieli ze sobą walizki.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał ze zdziwieniem Simonet.

— Jadę z tobą! — zawołał La Rochardie głosem, od którego zadrżały wszystkie szyby dworca.

— Ja także — dodał Anglik.

— Cudowny pomysł! — zawołał z radością szef gabinetu.

Trzej przyjaciele wsiedli do przedziału, zarezerwowanego dla Simonet'a. Oprócz nich w wagonie było kilku pasażerów... Jakiś Anglik, owinięty w pled zabierał się do drzemki. Trzech czy czterech podróżnych, którzy udawali się do Rouen lub do Dieppe w interesach. Wszyscy wyglądali na ludzi spokojnych.

Simonet i jego przyjaciele, rozmieściwszy swe bagaże na siatkach — usiedli — weseli, zadowoleni z przejażdżki, po której spodziewali się prayjemności i rozrywek, pewni, że wbrew pesymistycznym przewidywaniom Paulina Broqueta, nic się w drodze nie przydarzy. Simonet usiadł przy oknie. La Rochardie, który zawsze odczuwał brak powietrza, usadowił się naprzeciw niego, a Montgomery zajął miejsce przy drzwiach, wiodących do korytarza. Zamknąwszy te drzwi, czuli się w przedziale, jak u siebie w domu. Pociąg ruszył i La Rochardie wydał radosny okrzyk, którym zagłuszył niemal gwizdek lokomotywy.

— Ach! mój drogi ministrze! Z twojej racyi widocznie odjeżdżamy prawie o oznaczonej godzinie! Tylko dwadzieścia minut opóźnienia... To znakomicie.

Pociąg pędził nie zatrzymując się do Vernon, gdzie stał minutę.

Przyjaciele palili spokojnie cygara, gawędząc i śmiejąc się z anegdotek kapitana La Rochardie. Stopniowo monotonne kołysanie wagonu poczęło działać na nich usypiająco. La Rochardie jednak nie chciał zasnąć. Patrzył przez okno i wciąż mówił.

— Podjeżdżamy do Mantes.. Piękne miasto... Widzę już wieżę katedry... To mi przypomina pewne zdarzenie... Było to podczas ostatnich manewrów, i ja...

Nie dokończył... Drzwi przedziału otworzyły się gwałtownie i stanęło w nich trzech ludzi. Wszyscy trzej byli w maskach, które szczelnie zakrywały ich twarze. Każdy z nich trzymał w wyciągniętej ręce rewolwer.

— Ręce do góry! zawołali, wchodząc do przedziału.

Ręce do góry!

Zaskoczeni — trzej przyjaciele zrozumieli, że wszelki opór był niemożliwy. Simonet zresztą był zupełnie spokojny. Dzięki dowcipnemu pomysłowi Paulina Broqueta — nie obawiał się o swe dokumenty i śmiał się w duchu z bandytów. Montgomery spróbował sięgnąć do kieszeni po rewolwer, ale jeden z napastników powalił go na siedzenie, przygniótł piersi kolanem i przyłożył lufę rewolweru do czoła. Montgomery, wściekły, podniósł ręce do góry, jak to już był uczynił Simonet. Jednocześnie jednak chciał pociągnąć za rączkę aparatu sygnałowego. Ale czwarty bandyta, stojący w drzwiach uderzył go kastetem po ręce, która opadła bezsilnie.

La Rochardie próbował walczyć, krzyczeć, ale rzucono go na kanapę i ściśnięto za gardło. Wszelkie usiłowania obrony były udaremnione.

— Podnieś ręce! — zawołał Simonet, obawiając się o życie przyjaciela.

La Rochardie usłuchał wreszcie, nie posiadając się z wściekłości. Nie mogąc walczyć, przyglądał się pilnie napastnikom, pragnąc zauważyć coś, po czem możnaby ich poznać. Zobaczył, że każdy z bandytów miał na małym palcu lewej ręki dziwnego kształtu pierścień. Wyobrażał on dwie ręce z platyny podtrzymujące złotą płytkę, na której rubinami wysadzana krwawo błyszczała litera „Z“.

— Dobrze! — myślał waleczny kapitan — zapamiętam sobie ten pierścień i odnajdę go.

Bandyci tymczasem nie tracili czasu. W niespełna minutę wyrzucili przez okno przedziału wszystkie bagaże, znajdujące się w przedziale i zabrali Simonetowi pas, w którym miały znajdować się dokumenty.

— Hop! — zawołał jeden z nich.

Wszyscy trzej poczęli powoli cofać się ku wyjściu, trzymając wciąż rewolwery w wyciągniętych rękach.

— Ręce do góry jeszcze! — powiedzieli.

La Rochardie jednak miał już tego dosyć.

— Ręce do góry tak! — krzyknął. Ale i nogi do góry! I wymierzył potężne uderzenie nogą w brzuch najbliższemu z napastników. Bandyta, nie spodziewający się tego rodzaju napaści — zachwiał się na nogach. La Rochardie skoczył i zdzielił go pięścią po głowie — bandyta zwalił się na ziemię. W tej chwili rozległy się wystrzały rewolwerowe. Ale mężny kapitan nie zwracając na to uwagi — przeskoczył przez leżącego i rzucił się ku innym. W korytarzu wagonu zawrzała walka.

— Śmiało! — krzyczał La Rochardie do swych przyjaciół — śmiało!

Montgomery pospieszył za nim i boksował z zimną krwią, lecz z dobrym skutkiem.

W korytarzu pełno było ludzi, którzy powybiegali z innych przedziałów, między niemi znajdował się także i Anglik. La Rochardie szalał po prostu, bijąc pięściami na prawo i na lewo, kopiąc i rzucając się po korytarzu.

— Związać tego szaleńca — rzekł spokojnie Anglik — inaczej nie dojdziemy do ładu.

Stary Anglik powalił kapitana na ziemię i oddał go dwu innym, którzy związali mu ręce i nogi.

La Rochardie rzucał się i krzyczał tak, że zagłuszył świst lokomotywy, zwiastujący zbliżanie się do tunelu.

— Ależ do kroćset! Milcz pan! — zawołał Anglik po francusku.

Ludzie, którzy trzymali kapitana byli bez masek. Bandyci zamaskowani znikli prawie w tej chwili, gdy rozpoczęła się walka. Gdy La Rochardie został ubezwładniony — Anglik zerwał siwą przyprawioną brodę i wszedł do przedziału. Tu skoczył doń Montgomery z wyciągniętemi pięściami.

— Spokojnie, kapitanie! — rzekł szybko Anglik.

— A oh! verz well! — krzyknął Montgomery, poznając go — Paulin Broquet!

Paulin Broquet widział, jak bandyta, którego powalił kopnięciem La Rochardie — zerwał się podczas walki i wyślizgnął się z przedziału przez okno. Detektyw podążył za nim i pomimo, że pociąg pędził całą parą — wysunął się przez okno wagonu.

ROZDZIAŁ LI.

Czerwona plama.

Walka rozpoczęła w przedziale — przeniosła się na dachy wagonów. Teraz był to pojedynek. I co za pojedynek. Na dachu wagonu, który trząsł się i drżał w szalonym pędzie, znajdowało się dwu ludzi. Dzięki nadludzkim wysiłkom i niesłychanej zręczności potrafili się tu wydrapać, wyszedłszy przez okno z wnętrza pociągu. Pierwszym z nich był bandyta w masce, której nie zdążył zdjąć.

Biegł po dachu bokiem, odwrócony w stronę ścigającego go detektywa — w wyciągniętej ręce trzymał rewolwer i strzelał zeń raz po raz... Za nim podążał Paulin Broquet tak szybko, jak pozwalało na to silne drżenie wagonów i pęd powietrza. Długi świst lokomotywy zwiastował zbliżanie się pociągu do tunelu Bonnieres. Tunel ten, zbudowany bardzo dawno, był tak niski, że komin lokomotywy nowego typu niemal dotykały sklepienia. Przejechać ten tunel na dachu wagonu można było tylko leżąc. Bandyta w masce zdawał się nie zwracać uwagi na świst lokomotywy, nie wiedział, czy też nie pamiętał o bliskości tunelu. Strzelając ciągle w stronę detektywa — przeskakiwał z wagonu na wagon... Paulin Broquet wystrzelił w odpowiedzi parę razy zaledwie — pragnąc pochwycić bandytę żywcem. Tunel był już odległy o kilkanaście metrów — Paulin Broquet znajdował się na dachu wagonu, sąsiadującego z tym, po którym biegł bandyta. Nagle ten zatrzymał się, odwrócił i wymierzył do detektywa — dzieliło ich zaledwie parę kroków i strzał mógł być celnym, ale w tej chwili bandyta wydał przeraźliwy okrzyk i znikł w kłębach czarnego dymu.

Paulin Broquet zaledwie zdążył skoczyć w przedział między dwoma wagonami i zawisł w powietrzu, zaczepiony rękami o brzeg dachu. Wisiał tak przez kilkanaście minut spowity w kłęby czarnego dymu, z trudnością oddychając. Gdy świstek lokomotywy oznajmił wreszcie koniec tunelu, detektyw począł podciągać się na rękach, wreszcie wydrapał się na dach i pobiegł w stronę, gdzie widział w ostatniej chwili przed tunelem bandytę... Na dachu sąsiedniego wagonu nie znalazł nikogo. Bandyta w masce znikł, nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Jednakże detektyw widział go przed samym tunelem, którego tamten widywał się nie zauważyć. Słyszał jego krzyk przeraźliwy. Powinien być rozbity, zmiażdżony uderzeniem. Może uczynił to, co detektyw — zawisł na rękach... Ale — zdaniem Paulina Broquet'a — bandyta nie miał na to czasu. A ten krzyk, krzyk przerażenia, i bólu — krzyk śmiertelny — detektyw miał go jeszcze w uszach! Nie, bandyta nie mógł się uratować. Jednakże ciała jego nie było na dachu wagonu...

Rozglądając się, Paulin Broquet zauważył przy blasku iskier, wylatujących z komina, dosyć dużą tłustą plamę na dachu wagonu. Nie mogła to być rozlana oliwa, gdyż pociąg oświetlony był gazem. Detektyw dotknął palcami plamy, był to lepki płyn, powąchał palce.

— Krew! — mruknął do siebie, poznając zapach. — Krew!...

Wówczas wyjął z kieszeni lampkę elektryczną i obejrzał przy jej świetle palce, były zabarwione czerwono...

— Nie może być dwu zdań — rzekł — bandyta został zabity, a trupa siła uderzenia odrzuciła...

ROZDZIAŁ LII.

Na lokomotywie.

Pociąg wciąż pędził z szaloną szybkością. Paulin Broquet'a dziwiło to, gdyż wydał był swoim ludziom rozkaz zatrzymania pociągu przy pomocy sygnału. Nie tracąc jednak czasu nad rozmyślaniem, czemu jego rozkazy nie zostały spełnione, podążył po dachach wagonów w stronę parowozu, żeby kazać maszyniście zatrzymać pociąg. Skacząc z wagonu na wagon stanął wreszcie na tendrze. W tej chwili palacz, zajęty podsycaniem ognia, nabierał na łopatę węgiel. Ujrzawszy detektywa, wydał okrzyk zdziwienia i podniósł do góry łopatę, chcąc zadać nią cios w głowę napastnika, za jakiego wziął Paulina Broquet'a.

Maszynista odwrócił się na krzyk palacza i pochwycił żelazny drąg. Rzucił szybko okiem na manometr, żeby przekonać się, czy wszystko jest w porządku i skoczył na pomoc palaczowi.

Obaj ci ludzie, pracujący w ciężkich warunkach, w ciągłem napięciu nerwów, odpowiedzialni za dziesiątki podróżnych pociągu, który prowadzili, na widok obcego człowieka na maszynie od razu powzięli podejrzenie, pewność niemal jakiegoś napadu i nie zastanawiając się, rzucili się na detektywa.

Paulin Broquet znalazł się w ciężkiem położeniu, nie mogło być mowy o walce z takimi dwoma przeciwnikami. Tylko dzięki nadzwyczajnej zręczności udało mu się uniknąć razów łopaty i drąga, wymierzonych wprost w jego głowę. Nie czekając na nowe ciosy, nacisnął guzik lampki elektrycznej i skierował jej promienie wprost na swych przeciwników. Oślepieni, cofnęli się. Detektyw skorzystał z tej chwili, skoczył i pochwycił każdego za prawą rękę.

— Nie bójcie się — rzekł żywo — nie jestem bandytą. Przeciwnie przyszedłem tu prosić was o pomoc. Jestem Paulin Broquet!

— Paulin Broquet nie ma tu nic do roboty! — krzyknął palacz i począł gwałtownie wyrywać się. To samo uczynił maszynista.

— Ależ przysięgam wam, że nie macie się czego obawiać! Zastanówcie się! — wołał detektyw. Szarpiąc się i walcząc, zeskoczyli z tendra na platformę parowozu. Tu Paulin Broquet czuł pewniejszy grunt pod nogami, niż na usuwającej się kupie węgla. Wytężył wszystkie siły, żeby utrzymać wyrywających się przeciwników, powtarzając przytem:

— Spokojnie, spokojnie, posłuchajcie mnie.

Nagle zwrócił się do maszynisty:

— Uważaj, regulator źle zamknięty.

Maszynista instynktownie odwrócił się, pochwycił rączkę regulatora i jednocześnie rzucił okiem na manometr. Zaklął okropnie i krzyknął:

— Węgla! Węgla!

Palacz szarpiąc się z detektywem odparł:

— Ależ... nie mogę... trzyma mnie!

— Puszczam cię — rzekł detektyw — bierz się do pracy.

Poczem zwrócił się do maszynisty, który teraz miał obie ręce zajęte.

— Nie ruszaj się, przyjacielu — rzekł doń. — Pilnuj maszyny! Ale staraj się zatrzymać pociąg możliwie najprędzej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył M. Bański, Liszki.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam to, o czem dziś każdy myśli i mówi:

— ara
bob —
— ela
nog —
— ipa
wal —
— ara
koz —
— epy
dom —
— rak

Figielek.
Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Do podanych samogłosek dodać odpowiednie spółgłoski, aby powstało znane polskie przysłowie:

a a a a a a e, a a, a a a e!

Arytmogryf.
Ułożył Weiuś, Stryj.

Gdy kto *wszystek*, to już leń!

4564 daje cień,
1234 jest choroba,
3546 miast o doba,
347 magnacki to ród,
234 miejsce słynne z gry i wód,
1342 bydle na rzeź prowadzone,
3431 słowo dzieciom ulubione,
124 ni zwierz, ni ptak, ni wąż,
512 ten, co ludźmi rządzi wciąż,
245134 jest okryciem białogłowy,
342 strój mieć nosi narodowy,
3651 cieniutenka jest to nić,
34567 mieć potrzeba, by ją wić,
313 chce duchowny, lecz nie święty,
765 cieszy, gdy już osiągnięty.

Szarada.
Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Drugiego miast ukłonu używają dzieci.
Pierwsze to pisarz znany, a zaś *całość* świeci.

Szarada.
Ułożył K. Ochowski, Kraków.

Jakże miło wśród pól w lecie
Być *pierwszą z czwartą* w dal,
Zda się, cała nić nie gniecie
Niknie wszelki ból i żal.
*
Dwu przyjaciół się spotkało,
Przez *trzecią* się przywitało,
Drugi ich rozmaity był,
Gdyż każdy inaczej żył.
*
Piąte, poeta wielce ceniony,
Ma też „na Skałce“ grób usłużony.
Jeśli ciekawy gwałtem *całości*
Niewiele trudnych przetkniesz tu ości,
O nią się każdy usilnie stara,
Jeden drugiemu zaś krzyczy: wara!

Logogryf.
Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Środkowy rząd pionowy poda nam nazwisko znanego powieściopisarza, poziomy zaś tytuł jego dzieła.
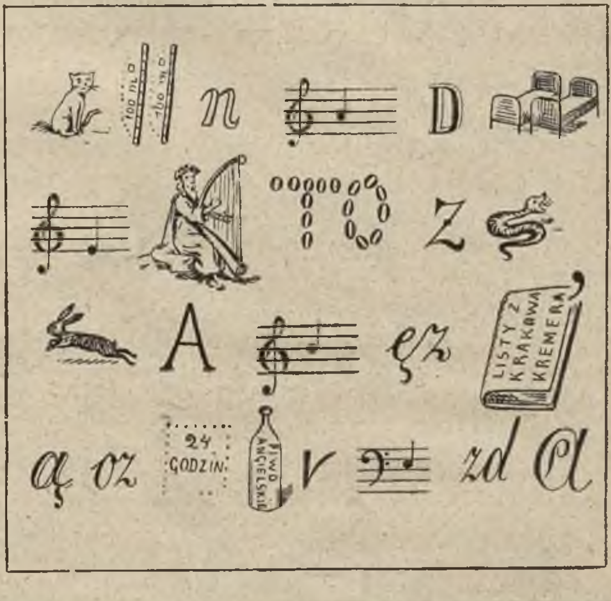
```
                  □
                — □ —
              — — □ — —
            — — — □ — — —
          — — — — □ — — — —
        — — — — — □ — — — — —
      □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
        — — — — — □ — — — — —
          — — — — □ — — — —
            — — — □ — — —
              — — □ — —
                — □ —
                  □
```

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2 Zmarznięta woda. 3 Imię męskie. 4 Inaczej położenie. 5. Szczyt w Alpach. 6 Zakonnicy. 7 Szukany wyraz. 8 Najwyższa nagroda przy zabawach sportowych. 9 Inaczej wielbiciel. 10 Imię żeńskie. 11. Termin geograficzny. 12. Rzeka w Rosyi. 13 Samogłoska.

Przysłowiówka.
Ułożył Jan Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Wesoła minka, hajduckie sumienie.
2) Lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć.
3) Od rzemyczka do koniczka, aż nareszcie szubieniczka.
4) Lekko sobie szacujemy, co zadarmo dostajemy.
5) Przymawia kocioł garnkowi, a sam dobrze smoli.
6) Indyk myślał i zdechł.
7) Nie uwierzysz, aż zmierzysz.
8) Przypomniała sobie babka, kiedy miała dziadka.
9) Straszona wrona boi się i krzaka.
10) Wmówił, jak w żyda chorobę.
11) Prochu nie wymyślił.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *W. Weresajewa:* **Na wojnie.** Wrażenia osobiste autora.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.